POLITYKA NA STAREJ PLEBANII

FAKTY PO MACH

Nr 19 (295), 8 – 14 maja 2026 r.

str. 3

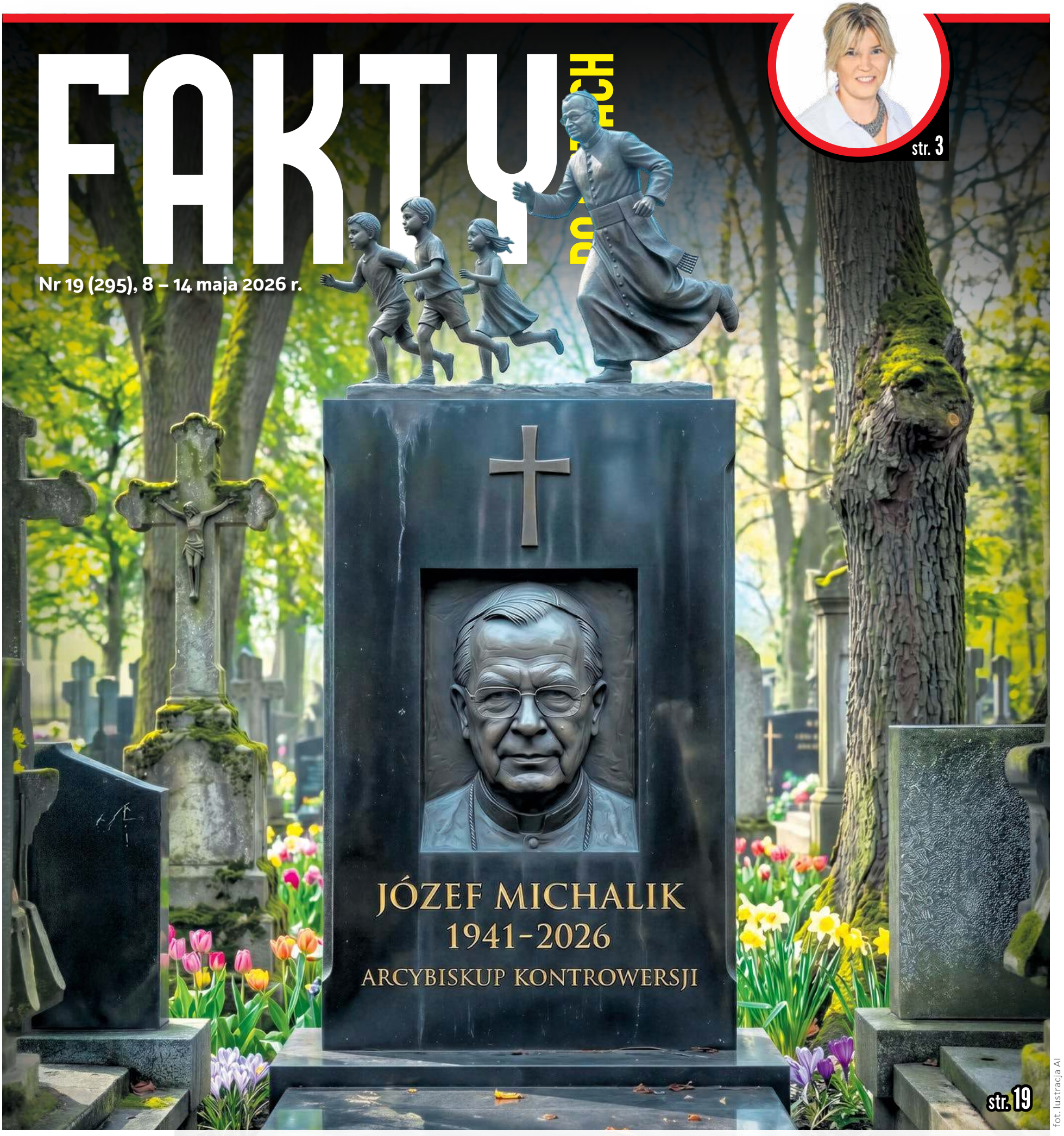

str. 19

fot. lustracja AI

9 772719 530604 19

KOŚCIÓŁ IDZIE NA WOJNĘ: Na początku był chaos. Potem był kler, który wymyślił sobie Boga, a jeszcze później ten Bóg stworzył ludzi i pieniądze, by ci pierwsi mogli je przekazywać klerowi... (Darek Cychol, str. 2)

OD PRZYBYTKU... Łącznie to jest ich w roku dwadzieścia. Dwadzieścia świąt kościelnych poświęconych matce boskiej. Tej z Częstochowy, żeby było jasne... (prof. Joanna Hańderek, str. 7)

cena 11,99 zł (w tym 8% VAT) ISSN 2719-5309 INDEX 434000 tygodnikfaktypomitach faktypomitach.pl

eprasa.pl f8a5ea809d

Akademia absurdu

Poczobut wolny. Wstyd pozostał

Najbardziej znany w Polsce białoruski więzień polityczny Andrzej Poczobut jest na wolności.

Pozwolę sobie przypomnieć fragment swojego felietonu „Archeologia polityczna”, opublikowanego w tym miejscu przed miesiącem („FpM” 15/26), a traktującego o stosunkach z Rosją:

„(...) Jest coś, co poważnie dzieli nasze kraje. To sprawa prof. Aleksandra Butiagina, archeologa o międzynarodowej sławie i niekwestionowanym dorobku naukowym. Prywatnie to ciepły, ujmujący człowiek, z ufnością traktujący innych. Pan ów od 4 grudnia 2025 r. gnije w polskim areszcie. Co nam zrobił? Absolutnie nic! Skąd się zatem u nas wziął? Był przejazdem, w drodze na Bałkany. Dlaczego trafił za kraty? Ukraińcy nas o to poprosili. Dokładnie zaś o to, by go zatrzymać i deportować do Ukrainy. Co prof. Butiagin zrobił Ukraińcom? No, jest Rosjaninem, a to już wystarczający powód do zniszczenia mu życia. (...) Mam (...) dla pana Sikorskiego propozycję: odpuście rosyjskiemu naukowcowi w zamian za wolność przetrzymywanego w Białorusi Andrzeja Poczobuta. (...) Odnotujecie *sukces* i premier Tusk będzie mógł z dumą mówić o sprawstwie polskiego MSZ pod kierownictwem R. Sikorskiego. Jak już Poczobut będzie na wolności, dalej będziecie mogli robić to, co wychodzi wam najlepiej: kompromitować się i pluć na innych”. (Rządzącym dziękuję za wnikliwą i życzliwą lekturę tekstów „FpM”).

Z uwolnienia pana Poczobuta cieszą się w Polsce wszystkie siły polityczne (co nie znaczy, że wszystkie go bezgranicznie kochają), władza do niego lgnie, by ogrzać się jego popularnością, a zwalczające się obozy polityczne wykorzystują do wbijania sobie szpil. PiS zarzuca Platformie, że można było uwolnić go wcześniej. Absolutnie zgadzam się z kaczystami! Można było. I to w czasach, kiedy to oni byli u władzy, bowiem Poczobut trafił do więzienia przed 5 laty, a Tusk z ekipą rządzą od 2,5 roku.

Radość z uwolnienia A. Poczobuta pokazała coś, o czym rządzący niedawno, jak i ci, którzy dzierżą stery obecni woleliby milczeć. Obie formacje udowodniły, że o dyplomacji mają takie pojęcie, jak ja o fizyce kwantowej. Podobno „walka o wolność” białoruskiego opozycjonisty trwała od dnia jego zatrzymania. Z jakimi sukcesami – wiemy. Według informacji wypływających z MSZ i opisujących ostatnią fazę rozmów, najpierw rozmawiali z Białorusinami przedstawiciele tego resortu, następnie grupa zadaniowa Agencji Wywiadu, potem znowu MSZ, by w końcu poddać się i poprosić o pomoc Amerykanów. Dziwne to trochę: odległość dzieląca Mińsk i Warszawę wynosi ok. 550 km, zaś droga z Mińska do Waszyngtonu to ok. 7 550 km. (Warszawę od Moskwy dzieli ok. 1 250 km, a Moskwę od Waszyngtonu ok. 7 850 km). Dodatkowo graniczymy i z Rosją, i z Białorusią. Mamy też w Polsce znakomitych sowietologów i rosjoznawców. Tylko oba ostatnie rządy tak upodliły stosunki z tymi krajami, że nikt tam nie traktuje nas poważnie. Przypomnijmy: za czasów PiS kulminacją „sprawy Poczobuta” było zamknięcie przejścia granicznego z Białorusią w Bobrownikach (luty 2023 r.). Oczywiście nie miało to sensu. Rząd Tuska we wrześniu 2025 r. całkowicie zamknął tę granicę. Z identycznym skutkiem. Różnica polegała na tym, że PiS wprost mówiło, o co mu chodzi, platformersi zaś (Tusk, Siemoniak, Kierwiński, Sikorski, Kosiniak-Kamysz) gardłowali o „zagrożeniu” i „poczuciu strachu”.

I do tych ostatnich mam pytania: 1. Nie wstyd wam z powodu tych jesiennych kłamstw? 2. Czy rozumiecie, że „granie” strachem może mieć fatalne konsekwencje? 3. Jak to robicie, że nie wstydzicie się własnej niemocy? 4. Czy nauczyliście się, że lepiej z ludźmi rozmawiać niż z nimi walczyć?

Na odpowiedzi nie liczę; wystarczy, że nas czytacie...

Darek Cychol

Kościół idzie na wojnę(3)

Na początku był chaos. Potem był kler, który wymyślił sobie Boga, a jeszcze później ten Bóg stworzył ludzi i pieniądze, by ci pierwsi mogli je przekazywać klerowi. PSL pojawiło się znacznie później, ale świetnie wpisało w schemat.

Wicepremier i minister obrony narodowej Władysław Kosiniak-Kamysz oraz minister spraw wewnętrznych Marcin Kierwiński nawiedzili biskupów obradujących w Warszawie na 404. posiedzeniu Konferencji Episkopatu Polski (KEP). Spiskowali o możliwości poprawienia kleszych humorów pieniędzmi przekazanymi im na wypadek wybuchu jakiejś wojny. Pomysł spodobał się czarnym, bo z radością krzyczeli, że pieniądze na wojnę im się należą (jak ciotce Kosiniaka-Kamysza tytuł błogosławionej, „FpM” 17/26). Niedługo później w sieci ukazała się broszura „Poradnik proboszcza na czas sytuacji kryzysowej lub zagrożenia wojną”, wydana przez Uniwersytet WSB. Książeczka zawiera szereg oczywistych i mało użytecznych rad dla proboszczów, co powinni zrobić przed, a co po wybuchu wojny. Ujął mnie list duszpasterski, który – w ocenie autorów „Poradnika...” – powinien być odczytywany podczas mszy, w skrócie: Bój – jedność – miłość – Kościół („FpM” 16/26). Obiecałem, że przygotuję dla proboszczów zestaw rad, co teraz właśnie czynię w formie autorskiego dekalogu.

1. Kup z partnerką domek. Nie ty dla niej, tylko jako współwłasność. Jednocześnie przygotujcie notarialnie testamenty, w których uczynicie się jedynymi spadkobiercami. (Jeśli Bóg ją wezwie – ocalisz dom). Dokładnie to samo zrób z drugą partnerką.

2. Wykonaj dobrej jakości zdjęcia wartościowych obrazów z kościoła i nie zapomnij zapisać ich dokładnych wymiarów. Potem dyskretnie zamów kopie wszystkiego co wartościowe. Podmień oryginały na podróbki. Podróbki zostaw w kościele, a oryginały wywieź do domów obu kochanek. Te prawdziwe już do kościoła nie wrócą, ale gdyby ktoś się skapnął, co zrobiłeś – wytłumaczysz się troską o bezcenne zabytki.

3. Zostaw na plebanii jeden oryginał zabytkowego obrazu (najmniejszej wartości). Jeśli szczęśliwie kościół się sfajczy, będziesz mógł go powiesić i krzyczeć o cudzie. Głupi lud wszystko kupi i niebawem zaleje cię rzeka pieniędzy na odbudowę kościoła.

4. Jeśli masz w kościele monstrancję i kielich na wino z czystego złota – zamów ich kopię, a oryginały wywieź tam, gdzie obrazy. Jeśli nie masz – poproś wiernych o datki („woja idzie”) i kup za ich pieniądze złote.

5. Systematycznie kupuj (w sąsiednich powiatach) złoto. Najlepiej w lombardach, bo tam możesz trafić nawet sztabki i nie musisz rejestrować zakupu.

6. Sugeruj starszym kobietom „ofiarę” w postaci biżuterii. Namawiaj zaufanych parafian do przechowywania kosztowności na plebanii („do kościoła nie wejdą”). Zawsze jest szansa, że kogoś szlag trafi i zostawi ci depozyt.

7. Zaopatrz się w mały przenośny zestaw do topienia złota – unikniesz tłumaczenia, skąd masz coś trefnego.

8. Namawiaj parafian, szczególnie prowadzących działalność gospodarczą, do stałych opłat „na wypadek wojny” z przeznaczeniem na zakup żywności i leków dla najbiedniejszych. Przynajmniej ⅓ tego, co kupisz, wywóź do domów partnerek. Nie wiadomo, co okaże się chodliwym towarem.

9. Zapowiedz prowadzenie „ochronki” dla dzieci. Będziesz miał dostęp do darmowej żywności, no i rodzice sami będą przyprowadzać ci dzieci na plebanię...

10. Zaopatrz się w portrety najbardziej znanych niemieckich, ukraińskich, rosyjskich i amerykańskich świętych, bo nie wiadomo, kto na nas napadnie. Na wszelki wypadek trzymaj też w kancelarii portret Grzegorza Brauna, bo tobie po drodze z nim, a jemu z większością twoich wrogów.

D.C.

FAKTY bez mitów

Prawdziwe szambo wylało się w komentarzach pod niewinnym lokalnym newsem. Otóż miasto Puławy postanowiło z okazji majówki wywiesić nie tylko flagi narodowe, ale też miejskie. Tyle, że sztandar Puław jest wielobarwny, a wśród używanych kolorów są niebieski i żółty, a to wystarczyło, by otworzyć puszkę Pandory. Jedni klawiaturowi „patrioci” zażądali zdjęcia „ukraińskich szmat”, drudzy atakowali lokalne władze za eksponowanie... symboli LGBT. Padły nawet wezwania, by flagi zrywać i palić, ale na szczęście prawdziwi Polacy w majówkę zajęci są grillowaniem, więc na pogróżkach się skończyło.

***

Państwowa Inspekcja Pracy (PIP) szykuje się na masową kontrolę umów cywilnoprawnych po 8 lipca. Bo chociaż media, relacjonując spór wokół ustawy o nowych uprawnieniach PIP, skupiły się na kontraktach B2B i wieszczyły przymusowe przenoszenie informatyków na etat, inspektorzy główne wyzwania dla siebie widzą gdzie indziej. PIP już odnotowała lawinowy wzrost liczby skarg na umowy cywilnoprawne, gdzie pracę świadczy się po zaniżonych stawkach, a także mobbing i stare (nie)dobre niewypłacanie wynagrodzeń na czas. Gdy nowa ustawa wejdzie w życie, skarg może być jeszcze więcej.

***

Jacek Sutryk ukończył studia na Collegium Humanum 42 dni po zawarciu umowy ze szkołą i nie wie, jak nazywał się jego kierunek – donosi „Newsweek Polska”. Dziennikarze dotarli do materiałów ze śledztwa w sprawie dyplomu prezydenta Wrocławia uzyskanego na doszczętnie skompromitowanej uczelni. Sutryk zeznawał też, że nie pamięta, kiedy dokładnie odebrał dyplom i na jakie zajęcia chodził. Może przy tak krótkiej pamięci nie warto brać się za rządzenie dużym miastem? Akt oskarżenia w sprawie Sutryka, ogłoszony w listopadzie 2025 r., obejmuje korupcję i wyłudzenie dyplomu.

A.S.

eprasa.pl f8a5ea809d

Polityka na starej plebanii

Ksiądz sprzedał się jak Judasz! – grzmią parafianie z podlubelskich Wojsławic i piszą list do biskupa.

Nigdy wcześniej nie mieliśmy do czynienia z tak trudną sytuacją. Uważamy, że kapłan nie powinien angażować się w bieżące spory polityczne ani dzielić wspólnoty parafialnej. Nasza parafia potrzebuje dziś przede wszystkim spokoju, jedności i duszpasterza, który będzie łączył ludzi, a nie pogłębiał podziały (...)" – napisała do metropolity lubelskiego arcybiskupa Stanisława Budzika grupa parafian z Wojsławic (woj. lubelskie). W tle sprawy pojawiają się posłanka Monika Pawłowska (PiS) i dotacja na remont plebanii.

Bunt w parafii

Wojsławice to typowa dla Lubelszczyzny miejscowość. Wyróżnia się jedynie tym, że za sprawą Andrzeja Pilipiuka znana jest fanom fantastyki jako ojczyzna kultowego bohatera Jakuba Wędrowycza. Choć miejscowa parafia pw. św. Michała Archanioła liczy ok. 3 tysiące dusz, całkiem sporo się tam dzieje. W 2023 r. lokalne tygodniki rozpisywały się o kulisach wyborów do rady parafialnej. „Wybrał sobie do rady, kogo chciał (...)" – komentowali mieszkańcy. Sami w ub.r. („FpM" nr 40/2025) pisaliśmy o „tajemniczym" zaginięciu w magazynach Muzeum Archidiecezjalnego w Lublinie zabytkowego „strasznego obrazu", ściśle związanego z historią miejscowości i zbrodnią na Żydach z 1761 r. Ostatnie miesiące przyniosły jednak znacznie więcej „dramatycznych" wydarzeń. Wszystko rozpoczęło się od nagłej śmierci (styczeń 2026 r.) wieloletniego wójta gminy Wojsławice Henryka Gołębiowskiego.

Do walki o fotel po nim stanęli m.in. zwycięzca 33-letni Bartłomiej Szajner, który wcześniej ubiegał się o miejsce w Sejmie z list Konfederacji i 29-letni kandydat PiS Jędrzej Halerz (zdobył 15 proc. głosów). Nie pomogło mu osobiste zaangażowanie w kampanię Mateusza Morawieckiego, który na początku marca przyjechał do Wojsławic, wsparcie posłanki PiS Moniki Pawłowskiej (prywatnie żony Halerza) i miejscowego proboszcza ks. Zbigniewa Kasprzyka.

– Pan Halerz mieszka w naszej gminie od niedawna. Myślał chyba, że jak obieca pomoc w załatwieniu dotacji na remont starej plebanii to wygra wybory. No i się zdziwił, a po tym, co ksiądz wyrabiał podczas tej kampanii to jeszcze i on za nim w dół pójdzie... Może i Lubelskie jest pisowskie, ale my też na głowę sobie wejść nie damy – mówi „FpM" jeden z autorów listu do lubelskiej kurii.

W rozmowie z nami zastrzega anonimowość. Pod listem też nie podpisał się swoim nazwiskiem. Nikt się pod nim nie podpisał, ale jak zapewnia nasz rozmówca, list był konsultowany przed wysłaniem, popierać ma go zdecydowana większość parafian.

„Szczególne kontrowersje wywołało publiczne wspieranie kandydata na wójta gminy Wojsławice pana Jędrzeja Halerza. (....) Coraz więcej osób rezygnuje z aktywnego udziału w życiu parafii, co – w naszej ocenie – jest bezpośrednio związane z obecną sytuacją i sposobem sprawowania posługi przez księdza proboszcza" – czytamy w liście do kurii.

Kampanijne fotki z księdzem

Nie trzeba przeprowadzać śledztwa, by znaleźć związki ks. Kasprzyka z Halerzem.

„Dziś wraz z Moniką Pawłowską (...) oraz ks. proboszczem Zbigniewem Kasprzykiem spotkaliśmy się we właściwych departamentach odpowiedzialnych za fundusze europejskie w Urzędzie Marszałkowskim Województwa Lubelskiego, aby rozmawiać o najpilniejszych potrzebach parafii – remoncie kompleksu zabytków kościelnych. (...) Wielka i niezwykle inspirująca wizja ks. proboszcza Zbigniewa, odbudowa starej parafii i uczynienia z niej miejsca wspomnienia bł. ks. Stanisława Mysakowskiego, pochłonęła mnie bez reszty. To projekt, który musi być wykonany. Wielkie gratulacje dla księdza proboszcza za propagowanie tej wielkiej sprawy!" – czytamy na Facebooku wpis polityka z końca lutego br.

fot. Facebook

„(...) Rozmawialiśmy o wyzwaniach i potrzebach stojących przed Kościołem – najpilniejsze jest dokończenie renowacji zabytkowego charakteru kościoła – remontu wymagają m.in. organy. Podzielamy wizję i plany ks. Proboszcza. Zrobimy wszystko aby nasza wspólnota rosła w siłę" – głosi kolejny post polityka, opatrzony zdjęciem z ks. Kasprzykiem.

Wbrew oczekiwaniom nie spotkały się z pozytywnym odbiorem mieszkańców Wojsławic. „Ksiądz sprzedał się jak Judasz!", „A gdzie rozdział Kościoła od państwa, już wam się wszystko pomieszało", „Czy Biskup toleruje takie zachowanie?", „Wstydzę się za mojego księdza proboszcza. To hańba i wstyd dla naszej społeczności parafialnej (...)", „No tak zabytkowy charakter kościoła ok. A jak to się stało, że z Domu Parafialnego wyparował obraz...?", „Ta kobieta żądała legalnej aborcji. Czy księdzu to nie przeszkadza?" – pisali w komentarzach.

Halerz swoją polityczną przygodę – tak jak jego żona – rozpoczynał w Wiośnie Roberta Biedronia. Miał też organizować Marsz Równości w Lublinie, czemu później zaprzeczał. Monika Pawłowska z Wiosny przeszła do Porozumienia Jarosława Gowina, a po pół roku do PiS. W 2023 r. przegrała wybory parlamentarne, ale przejęła mandat po prawomocnie skazanym Mariuszu Kamińskim. Nazwisko Halerza przewijało się nie tylko za sprawą ślubu Pawłowską, ale też przy okazji afer związanych z wykorzystywaniem przez ludzi PiS publicznych pieniędzy. W czerwcu 2023 r. Stowarzyszenie Bezpieczna Lubelszczyzna, którego rzecznikiem prasowym był Halerz, otrzymało z Kancelarii Premiera Morawieckiego 3,38 mln zł na projekt „Bezpieczna Kobieta". Projektowi towarzyszyła jednodniowa konferencja dla 500 osób, na którą poszło w sumie 180 tys. zł. Tymczasem *event* odbył się w sali mogącej pomieścić 300 osób. Jego organizację (za 130 tys. zł) powierzono spółce Zoe.net.co, należącej do Halerza. Kilka miesięcy później projektowi przyjrzała się Kancelaria Premiera Rady Ministrów i uznała, że Stowarzyszenie wydało w sposób nieprawidłowy blisko 98 proc. publicznej dotacji. Spółka Zoe.net.co znalazła się także na liście płac innego pisowskiego projektu o nazwie SIM Wschód (Społeczna Inicjatywa Mieszkaniowa). Spółka powstała pod koniec rządów PiS. Do 2033 r. ma wybudować 708 mieszkań w 11 gminach Lubelszczyzny dla osób bez własnego mieszkania i zdolności kredytowej. W związku z podejrzeniami o niegospodarność, sprawą finansowania m.in. spółki Halerza przez pisowski zarząd SIM Wschód zajmuje się Prokuratura Rejonowa w Lublinie.

A pieniądze gdzie...

Mieszkańcy Wojsławic mają poważne obawy w związku z decyzją swojego proboszcza o przeznaczeniu 30 tys. zł z parafialnych pieniędzy na dokumentację projektową remontu tzw. starej plebanii.

„W ostatnim czasie ksiądz proboszcz wielokrotnie zbierał na ten cel ofiary na tacę. (...) W powszechnej opinii – remont ten nie jest potrzebny ani priorytetowy dla naszej parafii (...), zdecydowana większość parafian nie popiera tej inwestycji i nie wyraża zgody na przeznaczanie środków parafialnych – w tym ewentualnego wkładu własnego – na ten cel, nawet w przypadku uzyskania jakiegokolwiek dofinansowania zewnętrznego (...)" – czytamy w liście do metropolity.

Autorzy pisma proszą arcybiskupa o zobowiązanie ks. Kasprzyka do publicznego i przejrzystego przedstawienia informacji dotyczących wydatkowania pieniędzy, a także wyjaśnienia, komu zostały one przekazane, czy wybór projektanta został dokonany samodzielnie przez księdza, czy przez osoby trzecie oraz dlaczego w tej sprawie nie przeprowadzono przetargu ani konsultacji z radą parafialną. Poproszony przez nas o komentarz ksiądz zignorował naszą wiadomość. Nie wiemy też czy kuria wzięła pod uwagę obawy „zatroskanych parafian".

„Nie udzielam komentarzy dla gazet promujących prostacką wersję antyklerykalizmu" – napisał nam ks. Adam Jaszcz, kanclerz Kurii Metropolitalnej w Lublinie.

– Jeszcze przyjdzie koza do woza – kwitują bierność kurii zbuntowani parafianie z Wojsławic.

Katarzyna Wilk-Wojtczak

eprasa.pl f8a5ea809d

WIARA CZYNI CZUDA

Austria: disco na cmentarzu

Na słynnym wiedeńskim cmentarzu Zentralfriedhof odbyła się „cicha dyskoteka". Inicjatorem wydarzenia jest pochodzący z Polski ks. Jan Soroka.

Silent disco" – taneczna impreza w słuchawkach na cmentarzu, ma łączyć wspólnotę i radość z refleksją nad śmiercią. „Wiara zna nie tylko ciszę i zadumę, lecz także lekkość i radość życia (...). Tam, gdzie ludzie wspólnie się śmieją, tańczą i są dla siebie nawzajem, tam Kościół staje się odczuwalny" – przekonuje ks. Soroka. W jego ocenie, współczesny człowiek często poszukuje nowych form przeżywania wspólnoty. Pomysł budzi kontrowersje i pytania o granice użyteczności miejsc pamięci. Zwolennicy widzą w nim szansę na wzbudzenie zainteresowania instytucją religijną, przeciwnicy – kolejny przykład desperackiego dostosowywania się do trendów.

W. Brytania: eksperyment LGBTQ

Kościół w Walii chce na stałe dopuścić błogosławienia par jednopłciowych. Obrzęd trafi niebawem do Księgi Modlitw Powszechnych.

Walijski Kościół (należący do tradycji anglikańskiej) zakończył pięcioletni okres „eksperymentalny", w którym błogosławieństwa dla par jednopłciowych były możliwe, mimo braku ich „stałego umocowania". Decyzja ta ma być odpowiedzią na tzw. potrzeby duszpasterskie i zmieniającą się rzeczywistość społeczną. Władze kościelne podkreślają, że chodzi o większą otwartość i obecność przy wiernych, niezależnie od ich sytuacji życiowej. Krytycy wskazują, że Kościół nadal nie uznaje formalnie małżeństw jednopłciowych, więc nowe przepisy są bardziej grą pozorów niż faktyczną zmianą.

Watykan: za mały na świętego

Stolica Apostolska wstrzymała proces beatyfikacyjny Waltera Ciszka – amerykańskiego jezuity, który spędził ponad 20 lat w sowieckich łagrach.

Ciszek ma „mocną", wręcz filmową biografię. Prowadził działalność duszpasterską wśród Polaków zsyłanych na teren ZSRR, był więziony, przesłuchiwany i zmuszony do podpisania „zeznań" dotyczących jego szpiegostwa. W radzieckich łagrach spędził blisko 20 lat. Tysiące dokumentów, świadectw oraz materiałów z archiwów rosyjskich i jezuickich gromadzonych od 2012 r. najwyraźniej nie wystarczyło. Według informacji przekazanych przez prałata Ronalda Bociana, uznano, że zebrana dokumentacja „nie daje podstaw" do dalszego prowadzenia sprawy beatyfikacyjnej ani kanonizacyjnej. Przypadek Ciszka mógłby być odczytywany jako przykład ostrożności Kościoła w wynoszeniu na ołtarze nie do końca „krystalicznych" postaci. Przypomnijmy więc kanonizowaną w 2016 r. Matkę Teresę z Kalkuty. Zakonnica zmuszała swoich podopiecznych do cierpienia w chorobie. Sama jednak latała leczyć się do szpitala w USA.

USA: religijne ciągoty

W przyszłości w każdej sali lekcyjnej publicznych szkół w Teksasie będzie wisiało Dziesięć Przykazań. Prywatna firma idzie o krok dalej i zapewnia możliwość rozmów z Jezusem.

Sąd apelacyjny uznał za zgodną z prawem ustawę Senate Bill 10, która zobowiązała szkoły publiczne w Teksasie do umieszczania plakatu (40x50 cm) z Dziesięcioma Przykazaniami w każdej klasie. Decyzja zapadła większością głosów sędziów, mimo wcześniejszego tymczasowego wstrzymania przepisów przez sąd federalny po pozwie złożonym przez rodziny innych wyznań oraz osoby niewierzące. Skarżący argumentowali, że obecność Dekalogu w szkołach narusza zasadę rozdziału Kościoła od państwa i może prowadzić do presji religijnej wobec uczniów. Sędziowie uznali jednak, że sama ekspozycja tekstu religijnego nie oznacza przymusu ani indoktrynacji. Spór prawdopodobnie trafi do Sądu Najwyższego, który rozstrzygnie zgodność przepisów z konstytucją. Równolegle firma technologiczna Just Like Me (Tak jak ja) uruchomiła aplikację o tej samej nazwie, która za opłatą umożliwia rozmowę z wygenerowaną przez sztuczną inteligencję wersją... Jezusa Chrystusa. „Wirtualny Jezus" ma „oferować współczującą obecność, która zachęca do miłości, uzdrowienia i zrozumienia". Ciekawe, co powie o Dekalogu w każdej klasie?

fot. Instagram

Rosja: „święta wojna" Putina

Władimir Putin i jego ludzie wszędzie doszukują się obecności Szatana. Już nawet za demonstrowanie liczby 666 grozi grzywna lub odsiadka.

Dmitrij Miedwiediew, muzułmanin Ramzan Kadyrow oraz wielu jeszcze ważnych polityków rosyjskich z Putinem na czele, usilnie przekonują Rosjan, że ich kraj jest ostatnią tarczą, która powstrzymuje nadejście Antychrysta. Wrogiem jest każdy: Ukraina, LGBT i nieistniejący Międzynarodowy Ruch Satanizmu. Wcieleniem Szatana są według nich: Zełenski, Kyryło Budanow (szef wywiadu ukraińskiego) i Bartłomiej, patriarcha Konstantynopola. Ostatnio Rosja walczy nawet z liczbami 666. Dwa dodatkowe tygodnie aresztu dostał, zatrzymany za inne przestępstwo, mieszkaniec Tomska. Sąd uznał, że zbyt mocno chwalił się kolegom z celi wytatuowanym znakiem „666" i odwróconą pięcioramienną gwiazdą. Po 1 000 rubli (ok. 50 zł) kary dostali też dwaj mężczyźni z Tiumienia i Woroneża, którzy w swoich mediach społecznościowych pokazywali podobne tatuaże.

Niemcy: kierunek islam

Uniwersytet w Münster planuje utworzenie pierwszego w Europie Wydziału Teologii Islamskiej.

Nowa jednostka powstanie na bazie dotychczasowego Centrum Teologii Islamskiej i zostanie zrównana rangą z wydziałami teologii katolickiej i protestanckiej. Wydział ma obejmować osiem stanowisk profesorskich, a jego dziekanem zostanie teolog Mouhanad Khorchide, który określa projekt jako krok w stronę „otwartego i nowoczesnego islamu" w Europie. Jego zdaniem, nowa struktura ma umożliwić akademicką analizę islamu oraz większe zaangażowanie w debaty społeczne dotyczące integracji, edukacji religijnej i przeciwdziałania ekstremizmowi.

Łotwa: pedofil w sutannie

Sąd w Rydze skazał katolickiego księdza Krišjānisa Dambergsa na osiem lat więzienia i dwa lata nadzoru za przestępstwo seksualne wobec dziecka.

Tak jak w Polsce, procesy dotyczące przestępstw seksualnych wobec dzieci są prowadzone „za zamkniętymi drzwiami". Wiadomo jednak, że do przestępstw dochodziło w kościele w 2014 r., gdy pokrzywdzony miał 7 lat. Sprawa wyszła na jaw po latach, gdy ofiara opowiedziała o tym w trakcie terapii. Wyrok nie jest prawomocny – zarówno obrona księdza, jak i strona osoby wykorzystanej zapowiedziały apelację. Duchowny został wcześniej odsunięty od pełnienia obowiązków kościelnych przez lokalny Kościół katolicki.

Włochy: bunt żonatych księży

Ruch żonatych księży chce powrotu na łono Kościoła. „Priorytetem nie jest kwestionowanie celibatu, lecz ponowne dopuszczenie do aktywnej posługi" – przekonuje.

W obliczu kryzysu powołań w Kościele kat. trwa spór wokół sytuacji księży, którzy zostali odsunięci od posługi, a później zawarli małżeństwo. Jak informuje włoska agencja prasowa ANSA, lider ruchu zrzeszającego „żonatych księży" Giuseppe Serrone w ramach protestu głoduje, domagając się możliwości powrotu do sprawowania mszy. To forma presji na Watykan, gdyż według niego, sakrament święceń jest niezatarty, a małżeństwo nie powinno wykluczać z pracy duszpasterskiej. Protestujący dodają, że w samej tylko Italii takich jak oni jest aż 5 tys. A takich, którzy „mają to gdzieś" i romansują na boku pewnie 10 razy więcej.

Stronę redaguje **Wanda Kwiecień**

eprasa.pl f8a5ea809d

POLETKO PANA B.©

LEŚNE OBRZĘDY

Wojowników Maryi na zdrowaśkach w lesie" pokazuje facebookowa grupa „Mam gdzieś Polskę katolicką, chcę Polski europejskiej". Tłumek mężczyzn i jedna kobieta klęczą na leśnej polanie przed obrazem Najświętszej Panny Marii umieszczonym w świerkowym młodniaku. Aby nikt ich nie pomylił z bratnimi ruchami katolickimi, których wciąż przybywa, na widocznych z tyłu koszulkach i bluzach mają napis: WOJOWNICY MARYI. „Polecam Bieszczady, niedźwiedzie chętnie dołączą do modlitwy" – komentuje złośliwie grupowicz Bastek. Ale dopóki wojownicy za pośrednictwem przykościelnych polityków nie wtrącają się w nasze życie prywatne, i my nie będziemy im wypominać dziwnych leśnych obrzędów. Nawet gdyby uczestniczyły w nich niedźwiedzie…

WNUK SWOJEJ BABKI

Radio Maryja, „katolicki głos w twoim domu", przemówiło głosem Roberta Tekielego, który odczytał swój felieton z cyklu „Myśląc Ojczyzna". Jego główna myśl sprowadza się do frazy: „Spadek nastrojów proamerykańskich w Polsce to wspólna operacja Rosji i Niemiec, prowadzona na ich zlecenie przez reżim Donalda Tuska". Horyzont intelektualny pana Roberta nie sięga tak daleko, by zauważyć, że spadek nastrojów proamerykańskich nastąpił w wielu krajach, od W. Brytanii po Hiszpanię, gdzie nie rządzi „reżim Tuska", za to szaleństwa Trumpa są aż nazbyt odczuwalne. Tekieli zaczynał karierę jako „poeta lingwistyczny", później działał w ruchu New Age i twierdził, że posiadł umiejętność uzdrawiania, czytania w myślach innych ludzi oraz jasnowidzenia. W latach 90. nawrócił się na katolicyzm – jak opowiadał, dzięki jego zmarłej babce, która w zaświatach uprosiła o to Matkę Boską (i nie zaniedbała powiadomić o tym pozostawionego na ziemskim padole wnuka). Wszystko to czyni z felietonisty Radia Maryja wybitnego znawcę spraw międzynarodowych.

WODA Z TRUPÓW

Proboszcz z Mińska Mazowieckiego znalazł sposób na pozbycie się wód gruntowych z cmentarza. Wynajął ekipę, wsadził w ziemię długą rurę i zaczął spuszczać wodę do rzeki" – pisze „Wyborcza". Od 2015 r. proboszczem jest tu ks. Jerzy Karol Mackiewicz, dziś dziekan i prałat. „W Srebrnej dużo ryb nie ma, kiedyś było więcej, wszyscy w Mińsku wiedzą, dlaczego" – mówi wędkarz Marek. Ks. Jerzy Karol samowolnie poszerzył cmentarz o sąsiednią działkę należącą do Skarbu Państwa. Postępowanie administracyjne w tej sprawie ciągnie się bez końca. Gdy w starej nekropolii wybiły wody gruntowe, wykonał drenaż: tzw. odcieki z terenu cmentarza, wraz z ich trupią zawartością, trafiają prosto do rzeczki Srebrnej. Służby i urzędy nie widzą w tym problemu. Gdy Wody Polskie złożyły zawiadomienie o przestępstwie, prokuratura umorzyła sprawę. „Nasz ksiądz wszystko rozwiązuje sposobem" – cieszą się mieszkańcy ze sprytu ich duszpasterza.

ANIA WYMIATA

W Warszawie odbyły się Targi Wydawców Katolickich. Wydawnictwo Esprit promowało tam nowy hit: „Widziałam Maryję i świętych na własne oczy! 6 lat egzorcyzmów Ani Golędzinowskiej". Ania Golędzinowska – delikatna młoda blondynka, której nikt by nie podejrzewał o nadnaturalne moce – wystąpiła na targach osobiście. „Dzieliła się swoim mocnym świadectwem związanym z doświadczeniem egzorcyzmów. Opowiadała o tym, co widziała i czego doświadczyła w momentach, które trudno wyjaśnić ludzkim rozumem" – reklamuje swą najlepszą autorkę Esprit. Jeśli ktoś nie słuchał Ani na targach, ma do dyspozycji nagranie na YouTube; tak się teraz promują egzorcyści. Sądziliśmy do tej pory, że Kościół pozwala wypędzać diabła tylko zawodowcom – upoważnionym przez biskupa księżom. Przypadek Ani uczy, iż jeszcze lepsi mogą być egzorcyści świeccy, pomocnicy kapłanów (kimś takim był w Wielkiej Brytanii Dominik Tarczyński, naoczny świadek plucia gwoździami przez opętanych). Bo który ksiądz egzorcysta ogłasza, że widział Maryję i świętych?

KŁAMCZUCHA UŁASKAWIONA

Karol Nawrocki ułaskawił Weronikę Krawczyk, prolajferkę skazaną za zniesławienie lekarza ginekologa. Jak bowiem rozgłosiła w mediach społecznościowych, ten nikczemny osobnik miał ją namawiać do aborcji, i to wielokrotnie. Gdy była już w 14.-15. tygodniu ciąży, niemal czując bicie serca dzieciny, natrętnie wciskał jej adres kliniki aborcyjnej. Lekarz argumentował przed sądem, że takich klinik w Polsce nie ma, a pacjentka była u niego tylko raz, we wczesnej ciąży z podejrzeniem zespołu Downa u płodu. Do niczego nie namawiał, poinformował tylko, że prawo pozwala jej na aborcję (działo się to przed osławionym wyrokiem TK z 2020 r.). Dokumentacja medyczna potwierdziła jego wersję, *ergo* – pani Krawczyk nakłamała, żeby zabłysnąć w swojej bańce. Kara nie była przesadnie surowa – 4 miesiące ograniczenia wolności z obowiązkiem wykonywania pracy społecznej w wymiarze 20 godzin miesięcznie – lecz katoprawica zaczęła ubiegać się u prezydenta o ułaskawienie „bohaterskiej matki". Dla Nawrockiego zaś nie liczą się fakty, tylko ideologia.

ROK OBJAWIEŃ

Wiele wygłupów religijnych już było w polskim Sejmie – wieszanie krzyża przez posła Piotra Krutula z AWS, który wlazł na fotel marszałkowski jak na drabinę; królewski tron dla Papy, modły o deszcz. Teraz grupa posłów chce ustanowić rok 2027 Rokiem Objawień Matki Bożej Gietrzwałdzkiej. Jak czytamy w ich projekcie uchwały, objawienia z roku 1877 „stały się fenomenem na skalę europejską", Matka Boska „przemówiła do wizjonerek w języku polskim", co „stało się impulsem do masowego odrodzenia religijnego i narodowego we wszystkich trzech zaborach" i „jednym z fundamentów odzyskania niepodległości w 1918 roku". Gdyby nie objawienia, nie byłoby niepodległości – czy to jasne? Zamiast wykrwawiać się w powstaniach, Polacy powinni po prostu czekać na cud… Sejm RP ma więc stwierdzić istnienie Matki Boskiej i realność objawień maryjnych! Przedstawicielką wnioskodawców jest posłanka PSL Urszula Pasławska (luteranka); jej partia działa w tej sprawie pod rękę z PiS i Konfederacją. Inicjatywa zirytowała koalicjantów, głównie Lewicę. Lecz PSL wciąż ulega złudzeniu, że przetrwa, jeśli podliże się proboszczom bardziej niż PiS i obie Konfy.

SZKALOWANY I PONIŻANY

W Teatrze Nowym w Poznaniu grana jest sztuka Małgorzaty Sikorskiej-Miszczuk „Diabeł i dziewczyna" – alternatywna wersja losów irlandzkiej piosenkarki Sinead O'Connor, która w roku 1992 podarła przed kamerami TV zdjęcie papieża Jana Pawła II, mówiąc publiczności: „Walcz z prawdziwym wrogiem". Był to jej protest przeciw milczeniu hierarchii kościelnej wobec pedofilii i przemocy, jakiej dopuszczali się przez dziesiątki lat księża i zakonnice w Irlandii. Gest Sinead wywołał międzynarodową awanturę – odprawiano nawet nabożeństwa przebłagalne za „obrażanie Boga". Minęło wiele lat, O'Connor nie żyje, dużo dziś wiemy o patologii w Kościele i ciemnych stronach pontyfikatu JPII. A jednak spektakl „Diabeł i dziewczyna" doczekał się awantury na sesji sejmiku wojewódzkiego, gdzie radni PiS chcieli przepchnąć „apel o poszanowanie uczuć religijnych przez instytucje podległe Urzędowi Marszałkowskiemu". „Czuję się szkalowany i poniżany przez to, co się dzieje za publiczne pieniądze!" – wykrzykiwał wiceprzewodniczący sejmiku Marek Sowa. Inni radni czuli się, jakby cofnęli się w czasie do rozmodlonych lat 90.

Stronę redaguje **Dorota Wróblewska**

eprasa.pl f8a5ea809d

fot. NAC (koloryzowane)

Katastrofa w Puławach

Ostatni papieros...

Chodziło tylko o kilka centymetrów. Robotnicy po podniesieniu przęsła zawalonego mostu usiedli na rusztowaniu i zapalili papierosy. Nagle wszyscy poczuli drgnięcie...

W 1945 r., wkrótce po ustaniu działań wojennych, na ziemiach polskich przystąpiono do likwidacji zniszczeń. Strategiczne znaczenie miały mosty, gdyż transport w procesie szybkiej odbudowy kraju miał rolę kluczową.

Umowa i projekt

Nie inaczej było z mostem na Wiśle w Puławach (im. Ignacego Mościckiego) zbudowanym w 1934 r., a zniszczonym dwukrotnie: w 1939 r. przez cofające się Wojsko Polskie i w 1944 r. przez cofający się Wehrmacht. W końcu grudnia 1945 r. Departament Dróg Kołowych Ministerstwa Komunikacji ogłosił przetarg na wykonanie robót związanych z podniesieniem zwalonych przęseł, demontażu uszkodzonych części oraz odbudowy podpór. Do przetargu przystąpiło Przedsiębiorstwo Robót Inżynieryjnych Inż. M. Gościcki, L. Mroczek i S-ka z siedzibą w Warszawie. 22 lutego 1946 r. zawarło umowę ze Skarbem Państwa zobowiązując się do wykonania robót za 13 mln 121 tys. 700 zł.

Po podpisaniu kontraktu Przedsiębiorstwo poleciło swojemu konstruktorowi inż. **Florianowi Kowalewskiemu** sporządzenie projektu podniesienia żelaznej konstrukcji. Następnym krokiem były „obliczenia statyczne", które opracował **inż. Mieczysław Józef Gościcki** w oparciu o Polskie Normy B-190. Projekt i obliczenia zostały następnie przedłożone Rejonowemu Kierownictwu Budowy Mostów Drogowych w Puławach. 27 lipca 1946 r. zatwierdził je tamtejszy **dyrektor inż. Wojciech Barzykowski**.

Z ramienia Przedsiębiorstwa kierownictwo nad robotami sprawował **inż. Zygmunt Gołębiowski**, a z Rejonowego Kierownictwa Budowy Mostów Drogowych **inż. Julian Galas** z pomocą technika **Jana Władysława Szczepanika.**

Dymek na fajrant

Na rogach naprawianej konstrukcji zbudowano cztery drewniane wieże, z których za pomocą lewarów hydraulicznych podnoszono tzw. szelki stalowe, na których zawieszone było (za pośrednictwem dwóch wielkich stalowych belek „Greya") przęsło mostu. Z kolei na rusztowaniu pod przęsłem, podkładano w miarę podnoszenia podkładki stalowe, które miały za zadanie podtrzymanie konstrukcji od dołu w czasie wymiany „szelek" i w przypadku ich urwania się.

Jak stwierdziła potem w sprawozdaniu Główna Inspekcja Komunikacji, „podnoszenie od dołu tak wysmukłej i długiej konstrukcji było zadaniem trudnym, wymagało wielkiej ostrożności i starannie przemyślanego sposobu działania, wreszcie dobrego sprzętu".

Prace przy podnoszeniu przęsła rozpoczęto 16 maja 1947 r. Dopiero 23 czerwca zdołano unieść je na wymaganą wysokość 9 metrów, po czym miało ono spocząć na stałych jarzmach. Niestety, na jednej z wież, od strony dopływu Wisły i miasta Puławy (wieża nr 1), brakowało jeszcze 3-4 cm.

24 czerwca 1947 r. o godz. 7 rano przystąpiono więc do podniesienia przęsła lewarem. W tym celu **majster Jan Orzechowski** wydał **brygadziście Witoldowi Szlendakowi** polecenie wejścia na wieżę nr 1, uruchomienie urządzenia i ustawienie przęsła na odpowiedniej wysokości. Brygadziście towarzyszyli robotnicy: **Michał Jarzyna**, **Franciszek Pawłowski**, **Franciszek Kasprzak** i **Jan Dryk**. Wszyscy oni po wykonaniu zadania usiedli na wieży i zapalili papierosy.

Nagle poczuli drgnięcie przęsła!!! Pochyliło się ono w lewą stronę, a następnie zwaliło na ziemię z ponad 9 metrów(!) i wraz z walącą się wieżą nr 1 przygniotło robotników. Zginęło 5 pracowników – wszyscy towarzyszący brygadziście na wieży oraz pracujący w tym czasie pod wieżą **Franciszek Wojtasik**. Dodatkowo czterej budowniczowie mostu doznali ciężkich obrażeń ciała, w tym majster Orzechowski, a siedmiu – lekkich.

Winni?

Jak ustaliła w sprawozdaniu z 31 lipca 1947 r. Główna Inspekcja Komunikacji, „katastrofę spowodował impuls wywołany dźwignięciem jednego rogu dolnego konturu przęsła, będącego w stanie podwieszonym, wskutek czego nastąpiło przeciążenie uchwytu nr 1 oraz zakołysanie się masy przęsła po przekątnej konturu". Kompletnie innych ustaleń dokonała jednak Akademia Górnicza w Krakowie, badająca przyczyny katastrofy na zlecenie Prokuratury przy Sądzie Okręgowym w Lublinie. Według jej specjalistów, winnym był wadliwy projekt remontu. Wydając opinię w sprawie przyczyn zawalenia się przęsła, specjaliści z Akademii orzekli, iż bezpośrednią przyczyną katastrofy było przewrócenie się pionowych stalowych „stojaków" na wieży nr 1 i 2 pod wpływem siły poziomej, nieuwzględnionej przez Przedsiębiorstwo w obliczeniu: „środek ciężkości całego przęsła nie leżał w przekątnej między wieżami 1 i 4, lecz posiadał mimośród 1,13 metra, nieuwzględniony w obliczeniach" – stwierdzono.

7 czerwca 1948 r. prokuratura przychyliła się do ustaleń specjalistów z Akademii Górniczej i sporządziła akt oskarżenia przeciwko inż. Gościckiemu (aresztowano go 19 maja 1948 r.) i inż. Barzykowskiemu. Zarzucono im przestępstwo przewidziane w art. 230 par. 1 w związku z art. 36 kk. Jak twierdziła prokuratura, pośrednią przyczyną katastrofy był projekt niezgodny z „przepisami mostowymi" i obliczenia niezgodne zarówno z tymi przepisami, jak i „Polską Normą", na którą powołało się Przedsiębiorstwo. Obliczenia te uwzględniały tylko obciążenia pionowe, pomijając zupełnie obciążenia poziome od wiatru, czy różne drgania, które wystąpiły tuż przed katastrofą pod wpływem mimośrodu środka ciężkości podnoszonego przęsła.

„Projekt rusztowania montażowego był ryzykowny i robotnicy na budowie nie mieli wyobrażenia o tym, z jak wielką siłą poziomą, odpowiadającą sile straszliwego huraganu powietrznego, na budowie nieustannie przez kilka tygodni igrali" – pisała prokuratura w uzasadnieniu aktu oskarżenia. Dodatkowo projekt „zmuszał robotników do wielce ryzykownej roboty, której skutki nie dały na siebie czekać" – twierdziła prokuratura. Oskarżeni nie przyznawali się do winy.

Otwarcie mostu

Ostatecznie inż. Gościckiego uniewinniono, a oskarżenia przeciwko inż. Barzykowskiemu wycofano. Skutki katastrofy w miarę szybko usunięto. Dalsze prace wykonywane były „sposobem gospodarczym". Robotami miał kierować Bolesław Liberadzki. Przedsiębiorstwo, z którym zerwano umowę, zostało zobligowane do zwrotu Skarbowi Państwa otrzymanej zaliczki.

Otwarcie odbudowanego mostu miało miejsce już 29 czerwca 1949 r. Dokonał go wiceminister komunikacji Zygmunt Balicki, który podczas uroczystości wręczył nagrody 26 pracownikom. Wśród wielu przemawiających był m.in. inż. Barzykowski, któremu katastrofa ostatecznie nie przeszkodziła w dalszej karierze. W rocznicę Manifestu Lipcowego, 22 lipca 1952 r., prezydent Polski odznaczył go „za zasługi w pracy zawodowej i społecznej" Krzyżem Kawalerskim Orderu Odrodzenia Polski. Co ważne, „stalowe spawane blachownice" projektu inż. Barzykowskiego były w Polsce lat sześćdziesiątych XX w. typowymi belkami przeznaczonymi do budowy mostów.

Inżynier Barzykowski zmarł w 1983 r. w wieku 83 lat. O robotnikach, którzy zginęli przy odbudowie mostu i w ogóle o poświęceniu i trudach odbudowy Polski z wojennych zniszczeń, dziś już mało kto pamięta. Nie pomaga deprecjonowanie tego okresu przez upolityczniony od swego powstania IPN, dla którego bohaterami w tamtych czasach byli utrudniający odbudowę kraju „wyklęci", czyli często zwykli bandyci.

Przemysław J. Łaski

eprasa.pl f8a5ea809d

Od przybytku...

Łącznie to jest ich w roku dwadzieścia. Dwadzieścia świąt kościelnych poświęconych matce boskiej. Tej z Częstochowy, żeby było jasne.

W zasadzie ta jasnogórska ma sporą konkurencję. Przecież musi konkurować z tą z Gietrzwałdu, z Guadalupe, z Lourdes, z Fatimy i tą z La Salette. Jak dorzucić do tego ok. 20 000 oficjalnych sanktuariów maryjnych, a każde ma swoją Marię, i w każdym ta Maria jest od czegoś innego, to robi się nie tyle tłoczno, co skomplikowanie. To która Maria jest tą Marią właściwą?

Wielomatczyność

Matka Boska Kalwaryjska, Piekarska, Licheńska, Nieustającej Pomocy (jak widać, żyje się na świecie bezproblemowo), Rozwiązująca Węzły (sznurówek chyba), Królowa Pokoju (dlatego nie ma wojen), Świata (muzułmańskiego też?), Dobrej Rady (pytanie czy dla niewiernych również), Miłosierdzia (dla wszystkich?), Bolesna (jak tyle płacze to nie dziwota), Pocieszycielka Strapionych (psychologia nie jest potrzebna), Gromniczna (strzeże również przed wilkami), Zielna (patronka plonów i ziół – ale czy wszelakich?), Kwietna, Śnieżna (zapewne ma konflikt z tą od kwiatów), Stolica Mądrości (gdzie to?), Przybytek Ducha Świętego (czy tak ją w kłótniach Józef nazywał?), Pięknej Miłości (zwłaszcza dla Józefa, gdy się dowiedział, że jego żona jest przybytkiem ducha świętego). Próbując rozeznać się, która matka boska jest właściwa, poległam przy matce bożej Naczyniu Osobliwej Pobożności.

Gdy uświadomimy sobie, że tylko w ewangeliach – rzecz jasna chodzi o te cztery oficjalne – o matce boskiej praktycznie nie ma nic, rodzi się pytanie, skąd ten szał. Mało tego. Relacje słodkiego Jezuska z matką nie były najlepsze; a to nie chce z nią rozmawiać, a to ją odsyła. Jako dziecko uciekał jej i generalnie miał ją w głębokim niepoważaniu. W nauczaniu zaś nakazuje, by ludzie, którzy chcą zostać zbawieni, odeszli od swej matki i ojca, co z samej Marii robi dość dwuznaczną opiekunkę rodziny.

Geniusz uniwersalizmu

Matek boskich jest w świecie sporo, do tego niejedna osoba miała okazję porozmawiać z taką matką boską, i to w swoim własnym języku. Więc nie dość, że jest wieloosobowa, wielozadaniowa (m.in. od płaczu, od śmiechu, od siania, od pomagania), to jest każdej możliwej narodowości i mówi chyba we wszystkich językach. Można się pogubić, choć w całym tym kulcie ujawnia się kilka prostych prawd. Pierwsza to taka, że ludzie mają skłonność do szukania głupich rozwiązań bolesnych problemów. Zamiast wziąć się w garść i zrobić porządek ze swoim życiem, modlą się do niewidzialnej przyjaciółki. Druga to fakt, że ludzkość rozkochała się w wielobóstwie. Trzecia sprawa to tendencja Kościoła katolickiego do zaspokajania potrzeb ludzi przy zerowym angażowaniu środków. Jak jest choroba, to posyła się wiernym matkę boską co to i wspomaga, i płacze nad biedakami. I tak na każdą bolączkę lud dostaje odpowiednią aplikację matki boskiej.

Dla koloratkowych jest to bardzo dobre rozwiązanie, nie muszą bowiem sięgać do własnej kasy, by pomagać, tylko wywracają oczami, splatają ręce, ludzi na kolana rzucają i mówią: „módlmy się do matki naszej". I załatwione. Uczciwie trzeba jeszcze dodać Matkę Boską Placebo (od wszelkich kłopotów i bolączek) oraz Matkę Boską Daj na Tacę (pomoc za „ofiarę").

Do tego matka boska stanowi nie tylko placebo na problemy świata, ale również wpisuje się w święta państwowe. Kościół katolicki od lat przecież robi wszystko, żeby wbić do głowy swoim wiernym, że bez Kościoła nie ma polskości. W przeciwieństwie jednak do innych narodów w Europie my, Polacy, jakoś ciągle nie możemy otrząsnąć się z tej wielkiej mistyfikacji, jakoby nasz naród został stworzony przez Kościół, a przed tym aktem było to, co według białostockiego filozofa Kononowicza będzie w przyszłości na Podlasiu – nic. Ale co ja tam wiem, może trzeba głębiej sięgnąć i pomodlić się do Matki Boskiej Wspomożycielki Imprez i Stołów suto zastawionych. Wtedy może mi się rozjaśni...

prof. Joanna Hańderek

Ukarać biskupa!

Wymierzenie sprawiedliwości kościelnemu hierarsze przypomina w Polsce jazdę wyboistą drogą bez amortyzatorów. Śledztwo w sprawie tuszowania pedofilii przez biskupa seniora diecezji kaliskiej Stanisława Napierałę wszczęto ponad trzy lata temu. Od około dwóch lat stoi w miejscu.

Śledztwo w sprawie bp. S. Napierały dotyczy podejrzenia tuszowania pedofilii, m.in. księdza Arkadiusza Hajdasza, antybohatera filmu „Zabawa w chowanego" braci Sekielskich. Napierała miał wiedzieć o jego przestępstwach już na początku lat 2000., ale nigdy nie zgłosił ich ani do prokuratury, ani do Watykanu. Duchownego przenoszono z parafii Do parafil. „Był karnie przenoszony do innych parafii, to wszystko, co robi Kościół katolicki, żeby chronić dzieci przed pedofilami. Przechodząc przez kolejne parafie, skrzywdził – jak sądzę – około 100 dzieci" – mówił w ub.r. Andrzej Hurny, jeden z pokrzywdzonych przez Hajdasza.

Kary i donosy

W efekcie zgłoszeń dotyczących tuszowania pedofilii przez biskupa Watykan wszczął postępowanie kanoniczne. 25 czerwca 2021 r. ogłoszono jego zakończenie i decyzję Stolicy Apostolskiej. Uznała ona, że doszło do zaniedbań w sprawach pedofilii księży, ale oceniła je jako „niezamierzone" i zastosowała wobec niego jedynie „karę" ograniczenia udziału w publicznych wydarzeniach.

Zawiadomienie o możliwości popełnienia przestępstwa do kaliskiej prokuratury złożyła wtedy Państwowa Komisja ds. pedofilii. Komisja twierdziła, że Stanisław Napierała mógł złamać prawo, bo po 2017 r. nie zgłosił przestępstw pedofilskich, mimo że miał o nich wiedzę. Chodziło o to, że do 2017 r. brak zgłoszenia takich czynów nie był karalny. Po zmianie prawa obowiązek zawiadomienia stał się bezwzględny.

Prokuratura broni hierarchy

W czasie rządów PiS prokuratura odmówiła jednak wszczęcia śledztwa, przyjmując pokrętną interpretację tego prawa. Uznała, że odpowiedzialność karna za niezgłoszenie pedofilii dotyczy tylko osób, które dowiedziały się o przestępstwie po wprowadzeniu obowiązku prawnego w 2017 r. Skoro więc Stanisław Napierała miał wiedzę o czynach wcześniej, według prokuratury, mógł nadal milczeć bez konsekwencji. Dopiero sąd w Kaliszu – po zwróceniu się o interpretację do Sądu Najwyższego – uznał, że nie ma znaczenia, kiedy ktoś zdobył wiedzę o przestępstwie. Jeśli po 2017 r. nadal jej nie zgłosił, może ponosić odpowiedzialność karną. W efekcie w 2022 r. sąd nakazał prokuraturze ponowne wszczęcie śledztwa. „Tak powstają święci. To jest pchanie na ołtarze" – wykrzyczał wtedy Tadeusz Rydzyk, robiąc z biskupa współczesnego męczennika.

Obserwując to śledztwo nasuwa się wniosek, że jest ono jednak przykładem kościelnej polityki „przeczekiwania". Dziś, to właśnie Watykan blokuje prokuratorskie dochodzenie, które mogłoby doprowadzić biskupa na ławę oskarżonych. Prokuratura od blisko dwóch lat czeka na dokumenty z postępowania kanonicznego Watykanu. Brak odpowiedzi Stolicy Apostolskiej – mimo formalnego wniosku o pomoc prawną – blokuje jej dalsze działania. Dodatkowo w sprawie działa presja czasu. Napierała ma 89 lat; jeśli umrze, postępowania zostanie umorzenie, a ofiary pedofila w sutannie nigdy nie doczekają się sprawiedliwości.

Katarzyna Wilk-Wojtczak

Płachta na Trumpa

„Codziennie sytuacja staje się coraz gorsza i groźniejsza. Rząd federalny forsuje szokującą, niewiarygodną kampanię agresywnych gróźb i nieskrywanych operacji, których legalność jest wątpliwa, daleko wykraczających poza regulacje imigracyjne".

Tak pisał w ubiegłym roku na łamach „The National Catholic Reporter" biskup pomocniczy Waszyngtonu Evelio Menjivar-Ayala, którego papież mianował właśnie biskupem prawicowej Wirginii Zachodniej. To ewidentny, by nie rzec prowokacyjny, palec w oko kryminalnego prezydenta USA, którego Leon XIV nie waha się oceniać z bezceremonialną szczerością. Sedno nominacji jest takie, że 55-letni Menjivar-Ayala to pierwszy w Stanach hierarcha z Salwadoru, który przybył do Ameryki w 1990 r. jako nielegalny imigrant. Przyznano mu wówczas status „czasowo chronionego", przysługujący imigrantom, którym w ich ojczyźnie grozi niebezpieczeństwo. Status ów Trump usiłuje właśnie anulować. A Menjivar-Ayala porównuje sytuację imigrantów w USA do cierpień Jezusa przed ukrzyżowaniem.

To niejedyna ostatnio płachta na Trumpa, którą drażni go rodak-papież. W tym samym dniu Leon XIV mianował biskupem pomocniczym archidiecezji waszyngtońskiej ks. Roberta Boxie III, dotychczasowego kapelana Uniwersytetu Harvarda, który łaje Trumpa z bezceremonialnością równą papieskiej. Analityk Gareth Gore twierdzi, że Leonem nie kieruje tylko dezaprobata wobec Donalda Trumpa: „on stara się wydrzeć chrześcijaństwo z rąk ekstremalnej prawicy". 58 proc. publiki w USA trzyma z Leonem XIV.

Janusz Zawodny

eprasa.pl f8a5ea809d

Pytania dotyczące Biblii (238)

Deizm

Czym jest deizm (łac. *deus* – Bóg)? Według „Słownika wyrazów obcych", to „kierunek filozoficzno-teologiczny powstały w okresie oświecenia, uznający Boga za stwórcę i prawodawcę, ale odrzucający wiarę w bezpośrednie kierownictwo światem przez Boga, wiarę w cuda i objawienie".

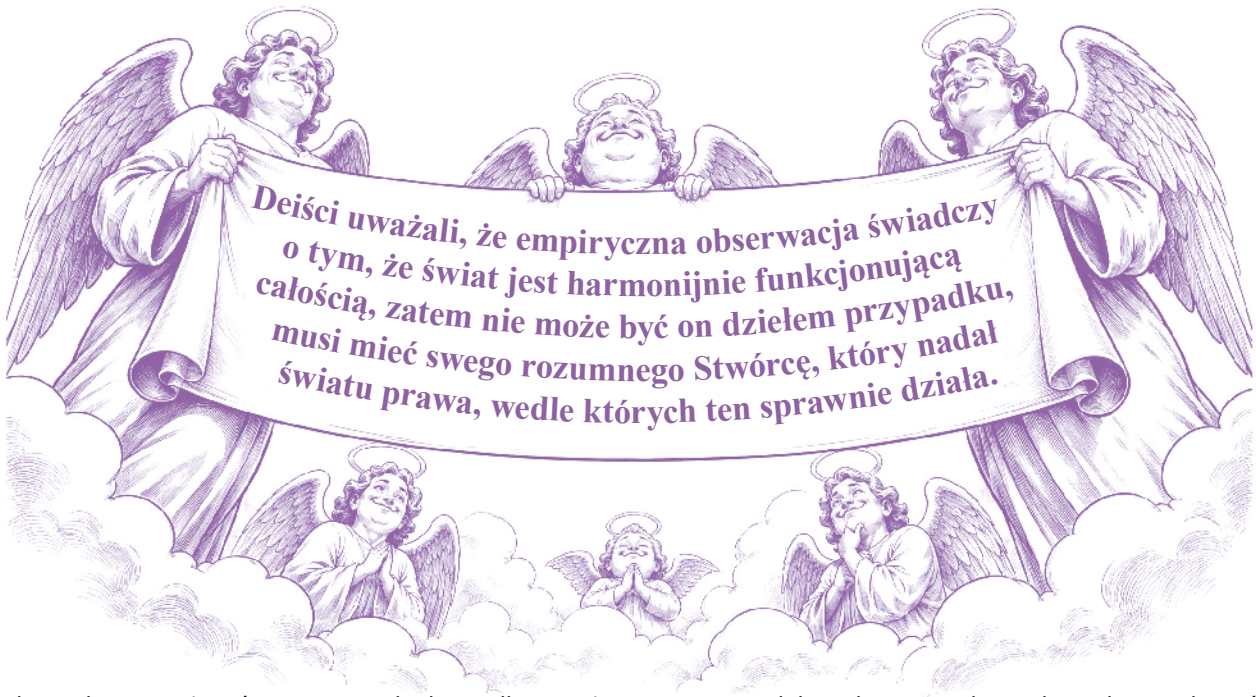

Powstanie deizmu, czyli religii naturalnej opartej na rozumie, wiąże się z XVII-wiecznym przełomem w filozofii, na którą wpływ wywarły: odkrycia naukowe Kopernika (1473-1543), Galileusza (1564-1642), Newtona (1642-1727); odkrycia geograficzne, z nowym spojrzeniem na świat oraz powstanie filozofii empiryzmu i racjonalizmu, które postawiły sobie za cel objawienie zastąpić rozumem i zmysłami człowieka.

Stosunek do Boga i świata

Podwaliny pod nowe spojrzenie na źródła poznania położył już Giordano Bruno (1548-1600), który z nauki Kopernika wyciągnął wniosek o nieskończoności i harmonijności świata, tłumacząc ową harmonijność twierdzeniem, że jest obrazem Boga. Jednak – jak pisze prof. Władysław Tatarkiewicz – „jego stosunek do Boga i świata – pozostał niewyraźny i zdaje się dopuszczać dwojaką interpretację: czy pojmował Boga panteistycznie, czy transcendentnie" („Historia filozofii", Warszawa 2005).

Mniej więcej w tym samym czasie Francis Bacon (1561-1627) – ojciec nowożytnej metodologii nauk – kładł nacisk na wagę rzetelności badań i doświadczeń empirycznych podkreślając, że prawdy objawione, w tym, dotyczące Boga, są sprawą wiary i leżą poza zakresem nauki. Mniej radykalny w swoich poglądach angielski lord Herbert z Cherbury (1581-1648) twierdził z kolei, że istnieje zestaw powszechnych prawd wspólnych wszystkim religiom: że Bóg istnieje i należy go czcić, a cześć ta polegać powinna głównie na prawym życiu. Podkreślał, że prawdy te są istotną treścią religii naturalnej, powszechnej, natomiast składniki obrzędowe poszczególnych religii są jedynie naroślami wyrosłymi z lokalnej tradycji, które należy zweryfikować racjonalnie, a – jeżeli kłócą się z religią naturalną – usunąć.

Innym prekursorem empiryzmu brytyjskiego był Thomas Hobbes (1588-1679), który postrzegał wszechświat jako materialny mechanizm działający wedle określonych praw, w którego porządek Bóg jednak nie ingeruje.

Tradycyjne wyobrażenie Boga zakwestionował również René Descartes, czyli Kartezjusz (1596-1650), który postanowił zawiesić wszelkie przekonania, włącznie z wiarą w istnienie Boga czy świata zewnętrznego, tak, by zbudować gmach wiedzy pewnej, opartej nie na wierzeniach – nawet tych najbardziej zdroworozsądkowych – lecz na racjonalnych sądach. Nie przyjmował on zatem żadnych twierdzeń, o ile nie zostały najpierw zweryfikowane przez rozum. Przyjmował prawdy wiary, takie jak przekonanie, że Bóg istnieje, jednak nie dlatego, że były prawdami wiary, lecz dlatego, że udało mu się je racjonalnie uzasadnić lub przynajmniej nie zanegować.

Ogólnie rzecz biorąc, nawet mniej radykalni deiści, którzy głosili, że Bóg istnieje, o jego istnieniu wnosili nie z dowodów apriorycznych, takich jak dowód ontologiczny Anzelma z Canterbury, lecz stosując wnioskowanie ze skutku o jego przyczynie. Uważali, że empiryczna obserwacja świadczy o tym, że świat jest harmonijnie funkcjonującą całością, zatem nie może być on dziełem przypadku, musi mieć swego rozumnego Stwórcę, który nadał światu prawa, wedle których ten sprawnie działa. Bóg nie mógł się więc pomylić, wyznaczając prawa działania świata. A zatem jest on dobry i nie trzeba ingerować w jego ład. Stąd nie jest potrzebna boska opatrzność czy cuda. Świat ma bowiem racjonalną strukturę, jest ładem. I tak samo dobrze został stworzony człowiek, ponieważ Bóg zapisał w jego naturze pewne prawa wyznaczające jego moralność.

Stosunek do zbawienia

Podobne stanowisko reprezentował John Locke (1632-1704), który – chociaż był chrześcijaninem – uważał, że Chrystus nie tyle przyszedł zbawić ludzi przez nadanie im nowego kodeksu wartości, ile przywrócić ludzkości cnotę rozumianą jako zgodność z naturalnymi prawami moralnymi, dostępnymi każdemu ludzkiemu rozumowi. Każdy zatem jest odpowiedzialny przed Bogiem za swoje czyny. Jednak w zakres odpowiedzialności nie wchodzi aspekt obrzędowy jako nieistotny dla moralności i zbawienia, lecz ludzkie postępowanie, które powinno być zgodne z ewangeliczną aksjologią.

Będąc antyklerykałem, Locke uważał więc, że instytucjonalne religie nie są konieczne do zbawienia. Przeciwnie, wręcz w nim przeszkadzają, jeżeli ich dogmatyka wchodzi w kolizję z moralnymi intuicjami rozumu. Prawa moralne oparte są bowiem na naturze ludzkiej, która wyraża się tym, że człowiek stroni od cierpienia, a dąży do przyjemności. Aby zatem postępować moralnie, wystarczy kierować się rozumem, który prowadzi do praw zawartych w ludzkiej naturze.

Objawienia i relacje z Bogiem

Deistyczny racjonalizm przejawiał się także w krytycznym podejściu do Biblii. Deiści nie uznawali bowiem jej treści za objawioną przez Boga. Wobec przekazu biblijnego stosowali krytykę racjonalną, odrzucali prawdziwość cudów, interpretując je w duchu naturalizmu. Istotne dla nich były jedynie moralne treści Biblii, te, które pozytywnie przeszły osąd rozumu. O ile dla Locke'a rozum był jeszcze w kwestiach światopoglądowych koniecznym narzędziem, o tyle w deizmie radykalnym rozum stał się treścią wystarczającą – nie chodziło już o zracjonalizowanie objawienia, lecz o zastąpienie objawienia rozumem. Wszelkie religie miały dla nich znaczenie tylko o tyle, o ile były przekaźnikami treści moralnej. Liczy się bowiem tylko indywidualna moralność, a więc tylko te cnoty, które dotyczą funkcjonowania człowieka na płaszczyźnie międzyludzkiej.

Deiści zakwestionowali również możliwość wejścia w jakąkolwiek relację z Bogiem. Uważali, że modlitwy do niego nie mają żadnego sensu, ponieważ nawet jeśli Bóg stworzył świat, to nadał mu pewne prawa, wedle których ten harmonijnie funkcjonuje i nie musi weń ingerować. Dlatego nie uznawali też boskiego posłannictwa Jezusa i jego zbawczej misji. Najbardziej radykalni deiści uważali nawet, że Bóg nie potrzebuje ani naszej miłości, ani chwały, ani wdzięczności.

Perspektywa biblijna

Oczywiście, z biblijnego punktu widzenia takie zagadnienia, jak objawienie, opatrzność oraz bezkrytyczna wiara w ludzki altruizm, deizm przedstawia zbyt jednostronnie. Czym innym jest bowiem krytyka tekstu Biblii, a czym innym kwestionowanie objawienia Bożego lub mówienie tylko o transcendencji Boga z odrzucaniem jego immanencji i duchowej relacji z Bogiem. Zwłaszcza że Biblia wyraźnie mówi, iż Bóg jest z każdym, „kto wzywa go szczerze" (Ps 145,18-19; Iz 57,15; Mt 6,6-9).

Nie do przyjęcia jest również wyolbrzymianie relacji międzyludzkich z nieuzasadnionym optymizmem skłaniającym do ignorowania ludzkiej grzeszności (Koh 7,20). Szczególnie, że sama wiara w dobroć człowieka, z pomijaniem tkwiącej w nim skłonności do zła, że z natury będzie chciał pomnażać szczęście innych i zmniejszać ich cierpienie, nie zaś własne, jest po prostu utopią!

Tak więc, chociaż deizm przyczynił się znacząco do krzewienia tolerancji religijnej, wolności sumienia i wyznania, do rozdzielenia religii od etyki oraz do rzetelnej egzegezy Biblii, to jednak z perspektywy biblijnej nie wszystkie jego założenia i twierdzenia odnoszące się do Boga, duchowej relacji z Bogiem oraz wyolbrzymionej dobroci człowieka, są do przyjęcia.

Bolesław Parma

eprasa.pl f8a5ea809d

Miłość i polityka

Niech wasza mowa będzie: tak, tak; nie, nie... Albo na odwrót.

Przekazywanie wiernym „nauk Chrystusa" traktowanych jak niepodważalne prawdy objawione jest jednym z podstawowych zadań Kościoła. Realizują je setki tysięcy księży, misjonarzy, katechetów, wykorzystujących do tego stosunkowo niewielki zestaw wciąż tych samych, na nowo powtarzanych cytatów z czterech nowotestamentowych ewangelii. W głoszonych przez nich „naukach" zawsze znajdziemy słowa o miłości, dobroci, miłosierdziu czy łagodności, ale z pewnością nie usłyszymy, że w ewangeliach można odnaleźć także zapisy odmienne, a nawet im przeciwne. Ujawnienie tych rozbieżności mogłoby skłonić niektórych słuchaczy do zastanawiania się nad tym problemem, zaś myślących wiernych Kościół nie potrzebuje. Warto więc wskazać kilka zaskakujących dysonansów w ewangelicznych prawdach i wyjaśnić, skąd się wzięły.

Pięćdziesiąt twarzy Chrystusa

Pierwszy przykład dotyczy wzniosłych i pełnych mądrości słów Jezusa wygłoszonych podczas Kazania na Górze. Nauczał wówczas: „Strzeżcie się, żebyście uczynków pobożnych nie wykonywali przed ludźmi po to, aby was widzieli; inaczej nie będziecie mieli nagrody u Ojca waszego, który jest w niebie" (Mt 6,1). Teraz proszę porównać tę przestrogę z inną jego wypowiedzią: „Do każdego więc, który się przyzna do Mnie przed ludźmi, przyznam się i Ja przed moim Ojcem, który jest w niebie. Lecz kto się Mnie zaprze przed ludźmi, tego zaprę się i Ja przed moim Ojcem..." (Mt 10,32-33).

Oba zalecenia są sprzeczne i nie ma w tym przypadku, gdyż zostały sformułowane w różnych okresach publicznej działalności Jezusa. Przez pierwsze lata był on zwykłym kaznodzieją, rebe-nauczycielem i uzdrowicielem, jakich w sfanatyzowanym państwie żydowskim było niemało. Zależało mu, aby ludzie uznawali go za natchnionego męża, światłego oratora (podobnego do Jana Chrzciciela), więc w swych naukach odwoływał się głównie do starotestamentowych ksiąg i mądrości dawnych proroków.

Rozterki młodego Jezusa

Sytuacja zmieniła się, gdy został namówiony przez kilku jerozolimskich polityków, by wykorzystał swą popularność i ogłosił, że jest mesjaszem, posłańcem niebios, który z boskiego nadania powinien rządzić Izraelem. Przemianę tę można dostrzec w poniższym cytacie: „Potem Jezus udał się ze swoimi uczniami do wiosek pod Cezareą Filipową. W drodze pytał uczniów: *Za kogo uważają Mnie ludzie?* Oni Mu odpowiedzieli: *Za Jana Chrzciciela*, inni za Eliasza, jeszcze inni *za jednego z proroków*. On ich zapytał: *A wy za kogo Mnie uważacie?* Odpowiedział Mu Piotr: *Ty jesteś Mesjasz*. Wtedy surowo im przykazał, żeby nikomu o Nim nie mówili" (Mk 8, 27-30).

Proszę zauważyć, że Jezus ma już uczniów, z którymi odbywa kaznodziejskie wyprawy, ale do tej pory nigdy nie występował jako mesjasz! Waha się, czy rozpocząć grę, która może wynieść go na szczyty władzy, gdyż wie, że podjęcie walki z rządzącymi arcykapłanami jest bardzo niebezpieczne. Teraz testuje, czy jego samozwańcze obwołanie się mesjaszem może być zaakceptowane przez lud żydowski – bez tego nie będzie miał szans na zwycięstwo.

Echa kampanii

Efekt jest pomyślny, więc wkrótce zacznie już otwarcie przekonywać tłumy do siebie jako Syna Bożego. Zależy mu na jak najliczniejszych zwolennikach i dlatego wzywa: „który się przyzna do Mnie przed ludźmi, przyznam się i Ja przed moim Ojcem". Po prostu przypadki, gdy nie on, lecz inni głośno mówią o nim jako o mesjaszu, są dla jego przedsięwzięcia najbardziej korzystne.

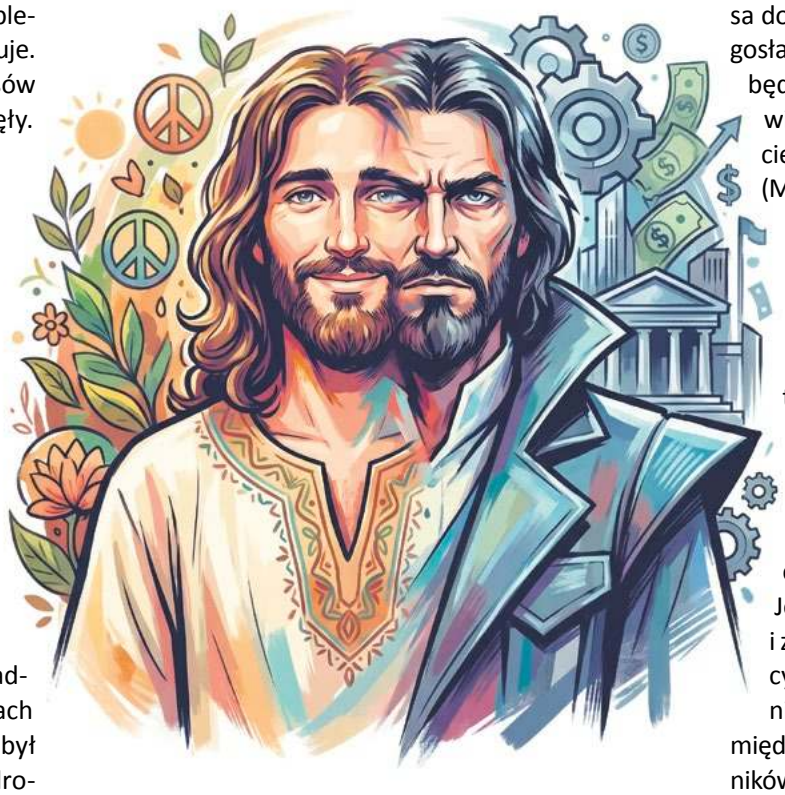

Ten sam powód leży u podłoża innej sytuacji. Gdy uczniowie spytali Jezusa o przypowieści, on im odrzekł: „Wam dano poznać tajemnice królestwa Bożego, innym zaś w przypowieściach, aby patrząc nie widzieli i słuchając nie rozumieli" (Łk 8,10). Jest szokujące, że Jezus otwarcie przyznaje się, iż w przemowach do tłumów świadomie mataczy. I mówi to człowiek, który wcześniej głosił: „Niech wasza mowa będzie: Tak, tak; nie, nie" (Mt 5, 37). Jednak można zrozumieć jego postawę gdy się wie, że owa tajemnica brzmi: pełne dobrobytu królestwo niebieskie nastanie wtedy, gdy w Jerozolimie zacznie rządzić Jezus-Mesjasz. Dopiero teraz można zrozumieć także jego dziwne słowa do uczniów: „Co mówię wam w ciemnościach, powtarzajcie na świetle, a co słyszycie na ucho, rozgłaszajcie na dachach" (Mt 10, 27). Tak jak poprzednio on zdecydowanie wolał, by inni – w tym wypadku jego uczniowie – donośnie rozgłaszali, że jest mesjaszem, Królem Żydowskim przeznaczonym do panowania, niżby on sam musiał to mówić.

Tajemnice i propaganda

Różnice między kaznodzieją a mesjaszem można dostrzec także analizując inny temat. Jezus dokonywał licznych uzdrowień, ale w pierwszym okresie starał się nie nadawać temu rozgłosu. Po przywróceniu do życia córki Jaira: „Przykazał im też z naciskiem, żeby nikt o tym nie wiedział" (Mk 5, 43). Podobnie postąpił po uzdrowieniu trędowatego: „Jezus surowo mu przykazał (...): *Bacz, abyś nikomu nic nie mówił...*" (Mk 1, 43-44). Również gdy uleczył głuchoniemego: „przykazał ludziom, aby nikomu nie mówili o tym cudzie" (Mk 7, 36).

Można mieć oczywiście wątpliwości, czy owa skromność Jezusa była szczera, ale kiedy ogłosił się mesjaszem, nie miał już skrupułów. Oto co powiedział, gdy w kraju Gerazeńczyków uzdrowił opętanego: „Wracaj do domu, do swoich, i opowiadaj im wszystko, co Pan ci uczynił i jak ulitował się nad tobą" (Mk 5, 19). Ten cud został dokonany w zasadzie bez świadków, więc teraz nie tylko nie było nakazu trzymania go w tajemnicy, ale wręcz przeciwnie.

Wybiórcza dobroć

Warto wspomnieć jeszcze o niejasnym stosunku Jezusa do kwestii pokoju. W Kazaniu na Górze mówił: „Błogosławieni, którzy wprowadzają pokój, albowiem oni będą nazwani synami Bożymi" (Mt 5,9). „A ja wam powiadam: Nie stawiajcie oporu złemu. Lecz jeśli ktoś cię uderzy w prawy policzek, nadstaw mu i drugi" (Mt 5, 39). „Miłujcie waszych nieprzyjaciół i módlcie się za tych, którzy was prześladują" (Mt 5,44).

Jak wspomniałem wcześniej, słowa te głosił człowiek, który starał się prezentować jako mądry i dobry nauczyciel. Natomiast gdy przyjął rolę mesjasza, w jego przemowach pojawiły się całkiem nowe treści. „Przyszedłem rzucić ogień na ziemię i jakże bardzo pragnę, żeby on już zapłonął!" (Łk 12, 49). „Nie sądźcie, że przyszedłem pokój przynieść na ziemię. Nie przyszedłem przynieść pokoju, ale miecz. Bo przyszedłem poróżnić syna z jego ojcem, córkę z matką, synową z teściową..." (Mt 10, 34, 36). Jezus od dawna przygotowywał zamach stanu i z niecierpliwością czekał na moment triumfu nad arcykapłanami. Zdawał też sobie sprawę, że zapewne nie wszyscy go poprą, a konflikty pojawią się nawet między bliskimi sobie osobami, więc uprzedzał zwolenników, że może trzeba będzie zastosować nawet rozwiązania siłowe.

Z wątkiem powyższym wiąże się problem rzekomo głównej cechy Jezusa, czyli bezgranicznego miłosierdzia. W ewangeliach rzeczywiście można znaleźć jego wezwania, by przebaczać, i to: „nie siedem razy, ale aż siedemdziesiąt siedem razy" (Mt 18, 22). Trzeba jednak dodać, że były one kierowane wyłącznie do nieustannie kłócących się i rywalizujących ze sobą jego uczniów. Natomiast przed tłumami przyszły król przyjmował pozę władcy raczej groźnego niż łagodnego. Zapowiadał na przykład straszne kary dla osób mu niesprzyjających: „Tych zaś przeciwników moich, którzy nie chcieli, żebym panował nad nimi, przyprowadźcie tu i pościnajcie na moich oczach" (Łk 19, 27), „Biada tobie, Korazoin!... Betsaido!... Kafarnaum... Ziemi sodomskiej lżej będzie w dzień sądu niż tobie" (Mt 11, 22-24). Nie widać w tych słowach szczególnego miłosierdzia.

Mam nadzieję, że teraz dla wszystkich Czytelników staje się jasne, iż ewangelie opisują dwie całkiem różne postaci – trochę „hippisowskiego" młodego Jezusa oraz dojrzałego Jezusa-Mesjasza, który jest cynicznym, twardym i bezwzględnym politykiem, walczącym o władzę.

Sławomir Sadowski

eprasa.pl f8a5ea809d

Zdziczenie

Miano *homo sapiens* – dość niesłusznie – zakłada, że człowiek myśli.

Dzik w polskim mieście dawno już przestał być zwierzęciem z opowieści myśliwych i leśników. Stał się sąsiadem, czasem nieproszonym, czasem dokarmianym, czasem fotografowanym z czułością, a najczęściej ściganym przez służby, które mają go zlikwidować w sposób, który z reguły nie wygląda ani dobrze, ani łagodnie, ani nawet szczególnie cywilizowanie. Warszawa naliczyła w 2025 r. 3 031 dzików. Zgłoszeń dotyczących ich obecności było 8 804, podczas gdy pięć lat wcześniej – 423. Odnotowano 341 kolizji drogowych z udziałem tych zwierząt i 121 ataków na ludzi.

Zredukowane do kontenera

Urzędnicy lubią mówić o „interwencjach", o „odłowie z uśmierceniem" i o „odstrzale redukcyjnym". To język, który ma zasłonić rzecz prostą i brutalną, że dzik miejski jest po prostu zabijany strzałką z trucizną, zwaną dla niepoznaki środkiem farmakologicznym. Od początku stycznia do połowy kwietnia wykonano ponad półtora tysiąca interwencji, w 37 wypadkach zastosowano odłów z uśmierceniem. Tak wygląda miejska codzienność zapisana w cyfrach, w tabelach, w decyzjach administracyjnych, które czyta się sucho i bezemocjonalnie do momentu, aż zobaczy się nagranie z podwórka i truchła zwierząt ładowane do plastikowych pojemników na kółkach. Wtedy człowiekowi przestaje się mylić słowo „redukcja" z rzeczywistością.

Aktywiści mówią, że zabite dziki są „wyrzucane jak odpadki". Lasy Miejskie odpowiadają, że pojemniki są zwyczajnie praktyczne, bo ułatwiają transport zwierząt ważących około stu kilogramów. Jedni widzą więc upodlenie i bezduszność, drudzy technikę i logistykę. Jedni widzą stworzenie, które jeszcze chwilę wcześniej chodziło między blokami z młodymi, drudzy problem, który trzeba sprawnie usunąć z przestrzeni publicznej. Granica konfliktu nie przebiega między miłośnikami zwierząt a ich wrogami, nie między humanitaryzmem a barbarzyństwem, ale między tymi, którzy patrzą na dzika jak na żywą istotę wyrwaną z porządku natury, i tymi, którzy muszą zlikwidować zagrożenie.

Władze Warszawy od lat tłumaczą, że ręce wiąże im nie tylko miejska rzeczywistość, lecz także prawo. Przed pojawieniem się afrykańskiego pomoru świń (ASF) praktykowano odłów i relokację, czyli wywożenie złapanych dzików poza miasto. Dziś ta metoda została zablokowana przez przepisy weterynaryjne i ograniczenia związane z ASF. Służby powtarzają, że nie wolno po prostu zapakować żywego dzika do samochodu i odwieźć go do lasu, choć wielu mieszkańcom taki scenariusz wydaje się najbardziej naturalny. Szczególnie dobrze dylemat ten było widać przy głośnej warszawskiej interwencji z kwietnia. Na podwórku między blokami znalazło się siedem dzików. Miejscowi przekonywali, że należało je uśpić i odwieźć do lasu. Dyrektor Lasów Miejskich tłumaczył, że zawsze najpierw próbuje się działać tak, by było bezpiecznie także dla zwierząt, ale gdy nie ma możliwości przepędzenia ich w odpowiednie miejsce, pozostaje ostateczność. I tak oto świąteczny poranek zamienił się w lekcję z nowoczesnego miasta, które z jednej strony lubi mówić o zieleni, bioróżnorodności i przyjaznej przestrzeni, a z drugiej – rozwiązuje problem dzikiej przyrody poprzez farmakologiczną likwidację zwierząt między huśtawką a piaskownicą.

Trochę większa wiewiórka?

Nie jest tak, że dziki po prostu „wchodzą do miasta". One do tego miasta już weszły i nauczyły się w nim żyć. To prawda niewygodna dla wszystkich stron tego sporu. Eksperci od lat tłumaczą, że zwierzęta bardzo szybko kojarzą siedliska ludzi z łatwym pokarmem. Śmietnik, altana odpadowa, niezabezpieczone worki, resztki jedzenia rzucane pod drzewo, a czasem wręcz regularne dokarmianie, a nade wszystko pełne pędraków i korzonków trawniki, skwery i parki, wszystko to działa jak miejski system zachęt. Najpierw dzik przychodzi nocą i ostrożnie. Potem przyprowadza młode. Potem przestaje bać się hałasu, samochodów, świateł i ludzi. W końcu staje się zwierzęciem półmiejskim albo po prostu miejskim, bo las przestaje być dla niego punktem odniesienia. Dlatego specjaliści twierdzą, że relokacja nie rozwiązuje sprawy. Dziki wracają, a te przyzwyczajone do obecności człowieka nie umieją już funkcjonować tak, jak funkcjonują ich leśni krewniacy.

Niektórzy eksperci mówią wprost, że nie ma lepszego sposobu niż odstrzał albo eliminacja zwierząt stwarzających zagrożenie, bo alternatywy okazują się nieskuteczne. Ci sami eksperci tłumaczą, że dzików nie wolno przyzwyczajać do dokarmiania, że największym błędem jest traktowanie ich jak sympatycznych bohaterów miejskiego folkloru i że zwierzę, które od małego korzysta z resztek przy śmietniku albo wchodzi pod place zabaw, w pewnym momencie staje się niebezpieczne. Bo nie jest maskotką, tylko silnym, ciężkim zwierzęciem, które w sytuacji stresu, zagrożenia albo broniąc młodych, reaguje gwałtownie.

Aktywiści odpowiadają na to, że miasto poszło na skróty. W Warszawie organizowano protesty przeciwko zabijaniu dzików, z hasłami w rodzaju „Nie trzaskać do dzików". Oskarżano ratusz o to, że słucha myśliwych zamiast niezależnych ekspertów, że wybiera rozwiązania „okrutne i prymitywne", że ignoruje możliwość edukacji mieszkańców, zmian w gospodarce odpadami i wdrożenia bardziej humanitarnych metod kontroli populacji. Proponowano powołanie miejskiej rady do spraw dzikich zwierząt, domagano się większego wpływu naukowców i społeczników na decyzje władz, wskazywano przykłady innych miast, które próbują myśleć o problemie szerzej niż tylko przez lufę ze strzykawką.

Walka miast z dzikami jest powszechna. W Łodzi mówi się o populacji liczonej w tysiącach sztuk, a w samym 2025 r. odłowiono niemal 200 dzików, wydając na to prawie pół miliona złotych. Powstał zespół do spraw dzikich zwierząt, który ma pracować nad rozwiązaniami systemowymi. To, co w trakcie jego posiedzeń narodziło się, przerosło oczekiwania. Bo od tego roku zamiast 200 będzie zabijanych 1 000 dzików. Najbardziej gorzka jest w tym wszystkim hipokryzja. Najpierw człowiek zachwyca się dziką przyrodą w mieście, robi zdjęcia, wrzuca filmiki, pozwala dzieciom podchodzić za blisko i sam podrzuca resztki jedzenia. Potem, gdy zwierzę przestaje się bać i zaczyna traktować osiedle jak własny teren żerowania, ten sam człowiek alarmuje, że miasto nic z tym nie robi. A kiedy wreszcie przychodzą ludzie od robienia „czegoś", okazuje się, że to, co robią, jest brzydkie, brutalne i trudne do zniesienia. Tyle że problem z dzikami polega właśnie na tym, że prawie każde realne rozwiązanie jest trudne do zniesienia.

eprasa.pl f8a5ea809d

Strzelać nakazano

Problem dzików w miastach przestał już być kwestią biologii czy nawet bezpieczeństwa, a zaczął być rachunkiem, który ktoś musi zapłacić. W tle każdego zgłoszenia o zwierzęciu chodzącym między blokami stoi bowiem nie tylko decyzja, co zrobić, ale także pytanie, czy wydatek rzędu kilkuset złotych lub kilku tysięcy, a w skali roku nawet kilkuset tysięcy złotych znajdzie pokrycie w budżecie i podstawę w konkretnym przepisie prawa. Punktem wyjścia jest Ustawa Prawo łowieckie z 13 października 1995 r., która wprost wskazuje, że dzik jako zwierzyna łowna stanowi własność Skarbu Państwa. W teorii oznacza to, że odpowiedzialność za zwierzę jest państwowa. W praktyce jednak to gminy mierzą się z konsekwencjami jego obecności, ponieważ to na ich terenie dochodzi do zdarzeń wymagających interwencji. Ta sprzeczność między własnością a odpowiedzialnością jest fundamentem całego systemu. Drugim filarem jest ustawa o samorządzie gminnym z 1990 r. Art. 7 ust. 1 tej ustawy stanowi, że zapewnienie porządku publicznego i bezpieczeństwa obywateli jest zadaniem własnym gminy. To właśnie ten przepis pozwala samorządom finansować odstrzał dzików, ponieważ można go zakwalifikować jako działanie mające na celu ochronę życia i zdrowia mieszkańców. Oznacza to, że choć dzik formalnie należy do państwa, to koszt jego eliminacji spada na lokalny budżet.

Na poziomie przepisów sanitarnych sytuację dodatkowo komplikuje afrykański pomór świń. Regulacje związane z tą chorobą wprowadzają zakaz przemieszczania dzików z jednego obszaru na drugi, czyli na odłowienie i wywóz zwierzęcia do lasu. To ograniczenie powoduje, że w wielu przypadkach jedyną dopuszczalną metodą pozostaje odłów zakończony uśmierceniem.

Płatne zabójstwo

W tym miejscu zaczynają się bardzo konkretne liczby. Koszt odstrzału jednego dzika w warunkach miejskich waha się zazwyczaj od około 500 zł do nawet 3 000 zł, w zależności od warunków, stopnia skomplikowania operacji i konieczności zabezpieczenia terenu. Jeżeli interwencja wymaga użycia środków farmakologicznych, obecności weterynarza oraz specjalistycznego sprzętu, koszt może jeszcze wzrosnąć. Do tego dochodzi transport i utylizacja zwłok, które również generują wydatki liczone w setkach złotych. W skali pojedynczego zdarzenia są to kwoty, które można uznać za umiarkowane, ale problem zaczyna się przy większej liczbie interwencji. W większych miastach, gdzie liczba interwencji idzie w setki, wydatki mogą przekraczać 300-500 tys. zł rocznie, a w perspektywie kilku lat zbliżać się do poziomu milionów.

Dodatkowym elementem jest odstrzał interwencyjny, który różni się od planowego. W przypadku odstrzału planowego koszty są rozłożone w czasie i częściowo pokrywane przez gospodarkę łowiecką. Natomiast odstrzał interwencyjny, realizowany w sytuacji nagłego zagrożenia, jest droższy i trudniejszy do zaplanowania, ponieważ wymaga natychmiastowej reakcji, często w trudnych warunkach miejskich. Prawo nakłada także konkretne obowiązki dotyczące sposobu przeprowadzania odstrzału. Musi on być wykonany przez osoby posiadające odpowiednie uprawnienia, przy zachowaniu zasad bezpieczeństwa i z minimalizacją cierpienia zwierzęcia. To dlatego praktykuje się chemiczne „usypianie", które wymaga obecności lekarza weterynarii i specjalistycznego sprzętu. To z kolei podnosi koszt operacji.

Warto zwrócić uwagę, że problem nie kończy się na samym wykonaniu odstrzału. Każda taka operacja musi być odpowiednio udokumentowana, rozliczona i uzasadniona. Oznacza to konieczność prowadzenia ewidencji interwencji, dokumentowania zagrożenia oraz wykazywania, że podjęte działania były proporcjonalne do okoliczności. W praktyce prowadzi to do sytuacji, w której każde zabicie dzika staje się jednocześnie zdarzeniem prawnym i finansowym. Nie jest to już tylko kwestia usunięcia zwierzęcia z przestrzeni miejskiej, ale także operacja, która musi być zgodna z kilkoma aktami prawnymi jednocześnie, mieć uzasadnienie w przepisach i znaleźć pokrycie w budżecie. Cały system opiera się więc na trzech równoległych logikach. Pierwsza wynika z prawa łowieckiego i mówi, że zwierzę należy do państwa. Druga – z ustawy o samorządzie i nakłada na gminę obowiązek dbania o bezpieczeństwo mieszkańców. Trzecia – z przepisów sanitarnych i ogranicza możliwe metody działania. W miejscu, gdzie te trzy porządki się spotykają, pojawia się uśmiercanie jako jedyne rozwiązanie dopuszczalne prawnie, kosztowne finansowo i trudne do uniknięcia.

Zatem każdy dzik pojawiający się w mieście oznacza nie tylko potencjalne zagrożenie, ale także wydatek liczony w setkach lub tysiącach złotych oraz decyzję, która musi zostać obroniona przed kontrolą prawną. I właśnie dlatego problem dzików w Polsce jest w równym stopniu problemem budżetowym, jak i biologicznym, a pytanie „co zrobić ze zwierzęciem" niemal natychmiast zamienia się w pytanie „kto za to zapłaci i na jakiej podstawie".

Utylizacja złotówek

Jeśli mówimy nawet o 500 tys. zł rocznie za uśmiercanie dzików, to warto sobie uświadomić, że za te pieniądze wytwarza się produkt, który następnie zostaje zniszczony. Bo dzik nie jest pustą masą biologiczną. Dorosłe zwierzę waży najczęściej od 60 do 120 kilogramów, a w sprzyjających warunkach nawet więcej. Z tej masy realnie uzyskuje się od około 35 do 60 kilogramów mięsa nadającego się do spożycia. To oznacza, że jedno zwierzę może dostarczyć kilkadziesiąt kilogramów pełnowartościowego białka, o tłuszczu i skórze nie wspominając. Przyjmując nawet ostrożnie 40 kilogramów mięsa, mówimy o zasobie, który mógłby zapewnić od 150 do 250 porcji obiadowych, w zależności od wielkości.

To mięso nie jest przy tym przeciętne. Dziczyzna zawiera średnio od 20 do 24 gramów białka na 100 gramów produktu. To poziom wyższy niż w przypadku wołowiny czy wieprzowiny. Jednocześnie zawartość tłuszczu jest wyraźnie niższa i waha się zazwyczaj od 2 do 5 gramów na 100 gramów mięsa, podczas gdy w wieprzowinie może przekraczać 10-20 gramów. Kaloryczność dziczyzny oscyluje najczęściej w granicach 110-140 kcal na 100 gramów, co czyni ją mięsem wyraźnie lżejszym niż wiele produktów hodowlanych. Do tego dochodzą mikroelementy. Mięso z dzika dostarcza około 2,5-3,5 mg żelaza na 100 gramów, co jest wartością istotną w profilaktyce anemii. Zawiera także znaczące ilości cynku oraz witamin z grupy B, w tym B_{12}, której poziom w dziczyźnie może wynosić około 2-4 µg na 100 gramów. To skład, który sprawia, że dziczyzna jest uznawana za mięso o wysokiej wartości biologicznej, wspierające regenerację organizmu i utrzymanie masy mięśniowej.

I właśnie dlatego skala marnotrawstwa robi wrażenie. Jeżeli jedno zwierzę może dostarczyć około 40 kg mięsa, a miasto usuwa na przykład 100 dzików rocznie, oznacza to potencjalnie 4 tony mięsa. Przy 200 sztukach robi się 8 ton. W większych miastach liczby te mogą sięgać kilkunastu ton rocznie. To nie są już wartości symboliczne, tylko realny zasób żywnościowy, który mógłby zasilić kuchnie społeczne, jadłodzielnie czy system pomocy dla osób ubogich. Zamiast tego mięso trafia do utylizacji. I to nie dlatego, że jest złej jakości. Wręcz przeciwnie – jego jakość żywieniowa jest wysoka. Problem polega na farmakologicznej metodzie zabijania. Substancje te powodują, że mięso nie może być dopuszczone do obrotu ani spożycia. W efekcie nawet zdrowe zwierzę, które w innych warunkach mogłoby trafić do kuchni, staje się odpadem wymagającym kosztownej utylizacji.

W tym momencie rachunek zamyka się w sposób, który trudno uznać za sensowny. Miasto wydaje od 500 do 3 000 zł na eliminację jednego zwierzęcia i to w obecności weterynarza, który mógłby przecież zakwalifikować mięso do spożycia. Następnie traci potencjalne 40-60 kilogramów mięsa o wartości rynkowej, która przy cenach dziczyzny wynoszących od około 30 do nawet 60 zł za kilogram mogłaby wynosić od 1 200 do 3 000 zł za jedno zwierzę. Na końcu ponosi jeszcze koszt transportu i utylizacji, który również nie jest zerowy.

To nie jest już tylko kwestia emocji czy podejścia do zwierząt. To jest kwestia matematyki. Bo jeżeli coś kosztuje kilka tysięcy złotych, dostarcza kilkudziesięciu kilogramów wartościowego produktu i kończy jako odpad, to trudno mówić o racjonalności. Zwłaszcza w sytuacji, w której jednocześnie istnieją ludzie, dla których dostęp do pełnowartościowego białka jest ograniczony.

Przyjmując zatem, że nie da się nie zabijać dzików w miastach, bo ich sterylizacja nikomu nie wpadła przecież do głowy, to spróbujmy choć w minimalnym stopniu nawiązać do myśliwskiej historii ludzkości, gdzie zabitemu zwierzęciu okazywano szacunek tym, że jego śmierć nie idzie na darmo. Tymczasem to, co w miastach dzieje się z mięsem zabitych dzików, pokazuje nie tylko naszą niemoc, ale także brak elementarnej logiki w tym, co już robimy.

Stefan Płonicki

eprasa.pl f8a5ea809d

Nawrockiego cień

Czy PSL razem z Szymonem Hołownią, PiS i Konfederacją, a być może nawet z Lewicą, wybiorą „nowego” prezesa Instytutu Pamięci Narodowej?

Sejmowa Komisja Sprawiedliwości i Praw Człowieka poparła Mateusza Szpytmę (wskazanego przez upolitycznione i propisowskie Kolegium IPN) na stanowisko prezesa IPN. Za kandydaturą byłego zastępcy Karola Nawrockiego zagłosowali nie tylko posłowie PiS i Konfederacji, ale też przedstawiciele PSL – Mirosław Orliński i Michał Pyrzyk oraz Paweł Śliz, przewodniczący Klubu Parlamentarnego Polska 2050. Takie głosowanie wybrańców rzekomo antypisowskiego obozu wskazuje, że gdy dojdzie do procedowania w Sejmie za Szpytmą, rękę podniesie 47 posłów z PSL i Polski 2050, co razem z głosami prawicy zagwarantuje mu wybór. Potem Szpytmę musi zatwierdzić jeszcze Senat, a tu jest ciekawie, bo Koalicja Obywatelska i Lewica dysponują 51 szablami. Znając możliwości negocjacyjne PiS, wcale bym się nie zdziwił, gdyby udało się „przekonać” dwóch senatorów z Koalicji Obywatelskiej lub Lewicy…

Zakulisowe gierki

Przypomnijmy, to właśnie dzięki zakulisowym targom z PSL Karol Nawrocki został w 2021 r. prezesem IPN. Według kuluarowych plotek, w zamian za poparcie Nawrockiego na prezesa IPN partia Jarosława Kaczyńskiego poparła zgłoszonego przez PSL Marcina Wiącka na Rzecznika Praw Obywatelskich. Coś było chyba na rzeczy, bo „Gazeta Polska Codziennie” wstrzeliła się w dziesiątkę i w wydaniu, które ukazało się w kioskach w piątek 23 lipca 2021 r., na pierwszej stronie poinformowała o wyborze Karola Nawrockiego. Problem w tym, że gdy zamykano numer (czyli w czwartek) nawet nie głosowano jeszcze nad kandydaturą Nawrockiego, więc Tomasz Sakiewicz musiał przewidzieć wynik głosowania. A może wiedział, że kaczyści ubili interes z kilkoma senatorami ówczesnej opozycji? (Za Nawrockim zagłosowało wtedy dwóch senatorów PSL – Ryszard Bober i Jan Filip Libicki oraz Antoni Mężydło z Koalicji Obywatelskiej, a także niezrzeszona Lidia Staroń).

Jaki teraz deal Władysław Kosiniak-Kamysz i Szymon Hołownia zawarli z prezesem PiS i Karolem Nawrockim za poparcie Mateusza Szpytmy, wkrótce się przekonamy…

Czyściciele

Szpytma, który jest zastępcą prezesa IPN od 2016 r. (czyli jeszcze za czasów prezesury Jarosława Szarka – również nominata PiS), wzbudza liczne kontrowersje. Apel do „przedstawicieli większości parlamentarnej w Sejmie i Senacie” o utrącenie jego kandydatury wystosowało kilkunastu historyków – w tym byłych pracowników IPN – wśród których znaleźli się m.in.: Mariusz Zajączkowski, Adam Puławski i Sławomir Poleszak.

Zajączkowski został wyrzucony z IPN po napisaniu pracy o zbrodniach tzw. żołnierzy wyklętych na Ukraińcach, Adam Puławski podpadł, bo jest autorem książki o reakcji polskiego podziemia na zagładę Żydów. Natomiast Sławomir Poleszak znalazł się na cenzurowanym, bo ujawnił, że bohater prawicy, ostatni tzw. żołnierz wyklęty Józef Franczak podczas okupacji walczył z żydowskimi partyzantami, wydał Niemcom żydowskiego krawca i wziął udział w pobiciu małżeństwa Polaków ukrywających Żydów.

Trzystu sprawiedliwych

Wróćmy jednak do apelu, który w sieci (na stronie Petycjeonline.com) podpisało prawie 300 osób. Oto jego fragment:

„14 kwietnia 2026 r. Kolegium IPN zarekomendowało na stanowisko prezesa IPN dr. Mateusza Szpytmę. Wsparcie udzielone tej kandydaturze przez grono, w którym przytłaczającą większość stanowią wybrani w 2023 r. nominaci obozu Zjednoczonej Prawicy, nie jest przypadkowe. Wbrew budowanej narracji o swojej apolityczności i profesjonalizmie Mateusz Szpytma był i jest nadal jedną z twarzy skrajnego upolitycznienia IPN, który na przestrzeni ostatnich dziesięciu lat stał się de facto partyjną przybudówką PiS. Mateusz Szpytma od 2016 r. pełni nieprzerwanie funkcję viceprezesa IPN, najpierw przy Jarosławie Szarku, następnie przy Karolu Nawrockim i ponosi współodpowiedzialność za dewastację instytucji, która powinna służyć wszystkim obywatelkom i obywatelom Polski, bez względu na ich ideowe wybory i pochodzenie. (…) Władze IPN zatrudniały w Instytucie osoby wywodzące się ze środowisk neofaszystowskich. To na konto ówczesnego ścisłego kierownictwa IPN, w tym także Mateusza Szpytmy, należy zapisać chociażby fakt zatrudnienia na stanowiskach kierowniczych w IPN najpierw w Opolu, następnie we Wrocławiu dr. Tomasza Greniucha, wcześniej przez wiele lat związanego z Obozem Narodowo-Radykalnym. (…) Równolegle w IPN przeprowadzano systematyczną czystkę kadrową. Zwalniano z pracy z pogwałceniem prawa, ewentualnie zmuszono do odejścia przynajmniej kilkadziesiąt osób, których otwarte podejście do badań nad przeszłością i niezależność w myśleniu stały się w IPN cechami wysoce niepożądanymi. Czystki dotknęły zarówno administrację, jak i piony merytoryczne Instytutu, czego głośnym przykładem było m.in. dyscyplinarne zwolnienie trzech pracownic biura lustracyjnego IPN w Szczecinie w listopadzie 2022 r. Po przegranych przez Zjednoczoną Prawicę wyborach parlamentarnych z 15 października 2023 r., IPN stał się również *przechowalnią* dla ludzi powiązanych z byłym już obozem władzy takich jak np. była prezeska Polskiego Radia Agnieszka Kamińska, były wojewoda pomorski z ramienia PiS Dariusz Drelich czy niedawno zatrudniony w lubelskim IPN Radosław Brzózka, w latach 2020-2023 szef gabinetu politycznego ministra Przemysława Czarnka” – piszą sygnatariusze apelu.

fot. Kancelaria Sejmu, Joanna van Fenema

Centrum osobliwości

Dodajmy, że w IPN zatrudnienie znaleźli też m.in.: Arkadiusz Wingert, wydawca książek czołowego negacjonisty Holokaustu Davida Irvinga; Tomasz Panfil, który twierdził, że „po agresji Niemiec na Polskę sytuacja Żydów nie wyglądała źle”, a Polacy mieli gorzej, czy Wojciech Muszyński, były działacz zadymiarskiej Ligi Republikańskiej, znany ze złotych myśli: „Marzec umożliwił wyrosłej z ubecko-politruckich korzeni Judeopolonii ucieczkę przed odpowiedzialnością za popełnione zbrodnie” czy „w Chile w 1973 r. członkowie Razem zostaliby helikopterami przewiezieni nad ocean i puszczeni wolno 30 km od brzegu”.

Pamięć i pieniądze

Upolitycznienie czy wręcz sprywatyzowanie IPN i przekształcenie go w partyjną policję historyczną to niejedyne „grzechy” Mateusza Szpytmy. Jesienią 2025 r. opublikowany został raport Najwyższej Izby Kontroli, która badała gospodarkę finansowo-majątkową IPN. Kontrolerzy dopatrzyli się wielu nadużyć i nieprawidłowości. I tak m.in. stwierdzono, że „finansowanie większości zbadanych (…) przedsięwzięć edukacyjno-kulturalnych naruszało wymóg prawidłowego, gospodarnego, celowego i rzetelnego zarządzania środkami publicznymi”, a „Prezes Instytutu, niezgodnie z ustawą o IPN, stworzył nowe komórki organizacyjne, zajmujące się głównie działalnością edukacyjną, a na ich działalność przeznaczono ponad 50 mln zł”. Jakby tego było mało „niecelowo i niegospodarnie” wydano prawie 15 mln zł na realizację działań edukacyjno-kulturalnych oraz na bieżące funkcjonowanie Instytutu. Zaś „przy zleceniach usług i dostaw na łączną kwotę 13 mln zł naruszono przepisy ustawy o zamówieniach publicznych lub uregulowania wewnętrzne”. Według NIK, „nie zawsze weryfikowano prawidłowość udzielania zamówień na usługi i dostawy pod kątem przestrzegania zasad szacowania wartości zamówienia, zachowania bezstronności i obiektywizmu oraz zasad uczciwej konkurencji przy wyborze wykonawców”. Czyli miliony złotych publicznych pieniędzy trafiały do zaprzyjaźnionych z kierownictwem IPN przedsiębiorców, a nie tych, którzy oferowali najlepsze warunki współpracy. Aby obejść przepisy ustawy o zamówieniach publicznych, w IPN dzielono zamówienia na mniejsze usługi lub dostawy. I tak np. zamiast ogłosić jeden duży przetarg zawierano „pod stołem” z jednym zaufanym przedsiębiorcą kilka umów.

Jeśli Mateusz Szpytma zostanie prezesem IPN, to dzięki ludziom, którzy przysięgali przed suwerenem, że będą żelazem i ogniem wypalać nadużycia PiS i nigdy nie pójdą z kaczystami na jakiekolwiek układy czy kompromisy. Przyrzeczenia składane przez polityków są niewiele warte.

Andrzej Sikorski

eprasa.pl f8a5ea809d

Podziały i połączenia

Chociaż na pozór blok demokratyczny oraz PiS powstrzymały ruchy dezintegracyjne, proces rekonfiguracji sceny politycznej przed przyszłorocznymi wyborami chyba się rozpoczął. Ciekawe, czy będą w stanie połączyć się obie Konfederacje.

W narodowe święto prezydent Nawrocki, wykrzykując w swoim stylu równoważniki zdań, obwieścił inaugurację prac nad nową ustawą zasadniczą. W tym celu powołał nawet swoją kolejną, siedemnastą już, doradczą Radę Nowej Konstytucji (nazwa oficjalna). W jej dziesięcioosobowym składzie znalazły się tuzy myśli ustrojowej Prawa i Sprawiedliwości: profesorowie i byli eurodeputowani Legutko i Krasnodębski, Piotr Andrzejewski, pamiętany ostatnio głównie z awantury i przepychanek na posiedzeniu Trybunału Stanu, którego jest wiceprzewodniczącym, i przede wszystkim Julia Przyłębska, symbol łamania obowiązującej konstytucji. Pamiętamy, że jako prezes Trybunału przy Alei Szucha działała „na gwizdek" z Nowogrodzkiej. Są w niej jeszcze były ultrakonserwatywny marszałek Sejmu Marek Jurek oraz prof. Anna Łabno, członek Rady Naukowej Ordo Iuris. Pięknie by nam te osoby państwo urządziły!

Te nazwiska nie dziwią, natomiast zaskoczył udział szanowanych postaci, których w tym gronie byśmy się nie spodziewali: byłego lewicowego prezydenta Krakowa Jacka Majchrowskiego, minister sprawiedliwości w rządzie Leszka Millera Barbary Piwnik, PSL-owskiego marszałka Sejmu Józefa Zycha oraz profesora Ryszarda Piotrowskiego. Ten ostatni znany jest z rygoryzmu prawnego, który przykłada do ocen przepisów niezależnie od tego, która strona je lansuje bądź ich nadużywa. Bardzo się to podoba polskiej prawicy, ale Nawrocki może się nieźle zdziwić, gdy ta postawa uwidoczni się w odniesieniu do jego pomysłów. Ewidentnie są one bowiem podszyte inklinacjami autorytarnymi. Wzorem byłaby tu ustawa zasadnicza z kwietnia 1935, na pewno nie ta z marca 1921 r.

Nie wyobrażam sobie, by tych czworo „doradców" weszło do prezydenckiej Rady z innych powodów, jak tylko pięknoduchostwo i naiwność. Nie kładliby na szafot swojego nazwiska i dorobku, gdyby byli świadomi, że to tylko humbug, czysta polityczna zagrywka. Nowej konstytucji Nawrocki do roku 2030 nie przygotuje – i miejmy nadzieję, że w żadnym innym czasie także. Tym bardziej nie doprowadzi do jej uchwalenia, bo to wymagałoby akceptacji 307 posłów i bezwzględnej większości senatorów. Na pewno nie zdarzy się to w tej kadencji i według wszystkich dzisiejszych sondaży – w kolejnej.

W czasie, gdy pan prezydent zajmował naszą uwagę nieistotnymi sprawkami, wielkie obozy polityczne niepostrzeżenie mierzyły się z zagrożeniem dla swych spoistości. W tle są przygotowania do przyszłorocznych wyborów.

Demokraci: ubył jeden

W Sejmie odbyło się głosowanie nad wotum nieufności wobec dwóch ministr (tak chyba należy odmienić rzeczownik „ministra" w dopełniaczu liczby mnogiej?). O dziwo, większego poruszenia nie wywołał wniosek o odwołanie szefowej resortu zdrowia Jolanty Sobierańskiej-Grendy, która do rządu trafiła jako menedżerka zarządzająca trójmiejskimi szpitalami, restrukturyzująca je i optymalizująca ich koszty. PiS zarzuciło jej brak strategii naprawy systemu ochrony zdrowia, kryzys szpitali powiatowych oraz cięcia w budżecie NFZ skutkujące ograniczeniem badań profilaktycznych i diagnostyki. Konsekwencje są odczuwalne przez tysiące pacjentów, a wspierający rząd posłowie też przecież to wiedzą. Swojego ministra jednak broni się bezapelacyjnie, więc obyło się bez kontrowersji.

Natomiast wniosek Konfederacji o odwołanie ministry klimatu i środowiska Pauliny Hennig-Kloski jej niedawni koledzy z Polski 2050 potraktowali jako okazję do odegrania się na nielubianej już koleżance oraz zaszantażowania całej koalicji 15 października (K15P). Ta polityczka stoi bowiem na czele połowy oryginalnej reprezentacji parlamentarnej ugrupowania Szymona Hołowni, która – opowiadając się za konstruktywną współpracą, a nie wiecznym kontestowaniem koalicji rządowej – opuściła partyjne szeregi i utworzyła własny klub pod nazwą Centrum. Następczyni eksmarszałka Sejmu w roli przywódcy stronnictwa, kolejna ministra Katarzyna Pełczyńska-Nałęcz (resort funduszy i polityki regionalnej) udała się nawet w tej sprawie do premiera. Nic jednak nie wskórała, usłyszała, że jeśli jej posłowie zagłosują za wotum, będzie to jednoznaczne z ich wyjściem z koalicji, a jej – z rządu. Ponoć ta grupa myślała nad mocnym, choć nienokautującym prztyczkiem w nos członkini gabinetu; liczyli, ilu z nich musiałoby głosować przeciw, a ilu mogłoby wniosek poprzeć, wstrzymać się bądź nie brać udziału w procedurze, by Hennig-Kloska w końcu jednak, o włos, utrzymała stanowisko. Ostatecznie z lojalnej współpracy K15P wyłamał się jedynie bieszczadzki poseł Romowicz, który ma z ministrą osobiste porachunki. Nikt go jak dotąd nie wyrzucił, ale może już czuć się jak poseł zmarginalizowany.

Na tym zamieszaniu zyskał Donald Tusk, który wykazał się silnym przywództwem i zagwarantował sobie spokój przed podobnymi wyskokami do końca kadencji. Posłowie klubu Centrum będą teraz liczyć na miejsca na listach KO, a Polski 2050 – modlić się o zmiłowanie lub jakieś nieoczekiwane rozstrzygnięcie, które by im spadło jak manna z nieba (np. sojusz z PSL). W przeciwnym razie odejdą w polityczny niebyt, a wyborcy i media szybko o nich zapomną.

PiS: ubyło dwóch

Jeszcze ciekawiej działo się po prawej stronie sceny partyjnej. Z członkostwa w klubie PiS zrezygnowało dwóch kontrowersyjnych posłów: Łukasz Mejza, „zachęcony" przez decydentów w efekcie licznych skandali z jego udziałem (teraz zapragnął wziąć udział w tzw. *freak fightach*, walce na ringu lub w oktagonie, w której zamiast zawodowych sportowców udział biorą celebryci) oraz Janusz Kowalski, który – zdaje się – ma coś za uszami w związku z aferą giełdy kryptowalut Zondacrypto.

Nie chodzi jednak o ubytek dwóch parlamentarzystów PiS, którzy zapewne i tak będą głosować w Sejmie jak dotąd, po myśli Jarosława Kaczyńskiego, ale o kruchy rozejm między grupą skupioną wokół Mateusza Morawieckiego a jego zaciekłymi wrogami, „maślarzami": Sasinem, Czarnkiem, Patrykiem Jakim, Tobiaszem Bocheńskim i ich poplecznikami. Zawieszenie broni osobiście wynegocjował prezes PiS podczas nocnej siedmiogodzinnej kolacji w apartamencie, a jakże, europosła Bielana; tym samym, w którym zakończyła się kariera Hołowni. Zgodnie z ogłoszonymi półgębkiem warunkami porozumienia, Stowarzyszenie Rozwój Plus byłego premiera mogłoby nadal działać, ale bez pozyskiwania nowych członków wśród aktywistów i samorządowców Prawa i Sprawiedliwości. Ekskomunika nałożona na jego założycieli (ok. 40 parlamentarzystów PiS) zostałaby cofnięta – nie byliby jeszcze skreśleni z list wyborczych tej partii.

W stanie czystym ten układ przetrwał kilka godzin, bo obie strony od razu zaczęły się okładać wpisami w portalach społecznościowych, głównie na X. Morawiecki raczej nie chce z PiS wychodzić – bo po co mu jakaś mała partyjka, niepewna przekroczenia progu wyborczego? A scenariusz koalicji razem z PSL to jednak całkowite *political fiction*. Wolałby pod wspólnym sztandarem wprowadzić jak najwięcej swoich posłów, a potem zawalczyć o całość – schedę po Kaczyńskim. Sytuacja może jednak wymknąć się spod kontroli; widzieliśmy już podobne przypadki.

Gdzie dwóch się dzieli, dwóch innych mogłoby się połączyć. Gdyby obie Konfederacje – Mentzena z Bosakiem oraz Brauna – wystawiły wspólną listę, to po przeliczeniu głosów na mandaty przy zastosowaniu wzoru D'Hondta, przyjmując jako dane wyniki ostatniego sondażu CBOS, uzyskałyby o 20 miejsc w Sejmie więcej od PiS. I jeśli K15P nie wystawi jednej listy albo jeśli PSL tym razem zdobędzie poniżej 5 procent oddanych głosów, stałyby się rozgrywającym nowej prawicowej koalicji rządowej.

Jakub Jabłoński

eprasa.pl f8a5ea809d

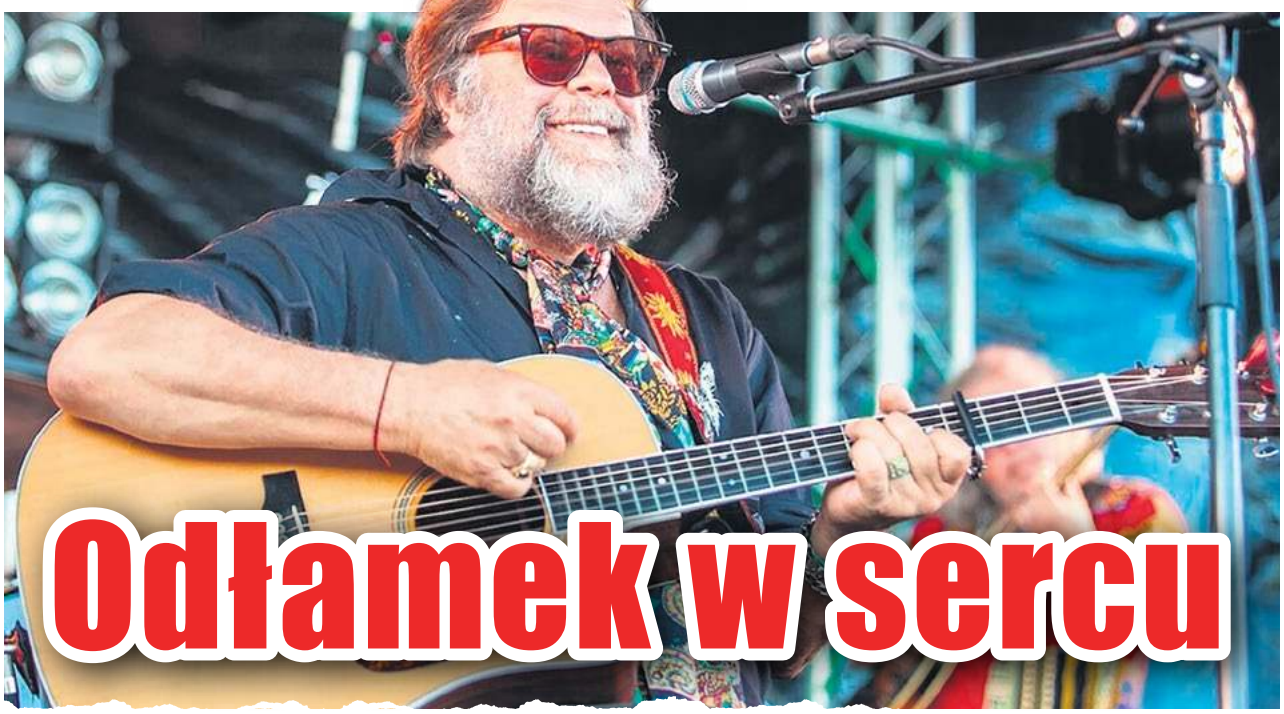

Odłamek w sercu

Muzyk, piosenkarz, kompozytor, poeta, prezenter radiowy, tłumacz, spontanicznie filozof... Wszystko w jednym. I wszystko bardzo na poważnie.

Boris Griebienszczikow to lider kultowego zespołu Akwarium. Bob, Greben, BG... To pseudonimy wymyślone przez fanów, synteza uwielbienia i swojskości. To legenda radzieckiego rocka lat 70. i 80. Człowiek epoki.

Do Londynu po uśmiech

W lutym 2022 r. BG potępił wojnę Rosji z Ukrainą. Wziął udział w koncercie charytatywnym na rzecz Ukrainy pod Bramą Brandenburską w Berlinie. Z koncertu przekazał 12 milionów euro na rzecz ukraińskich uchodźców. Rosyjskie Ministerstwo Sprawiedliwości uznało Borisa Griebienszczikowa za „zagranicznego agenta". Armia porządnych ludzi powiększyła się o jednego.

Bob zawsze szedł pod wiatr. Dorastał w inteligenckiej rodzinie w centrum Leningradu (Sankt Petersburga). Ukończył z wyróżnieniem elitarną szkołę fizyki i matematyki. Został wydalony z Komsomołu za „niespełnienie standardów moralnych radzieckiego studenta", ale nie przeszkodziło mu to w ukończeniu wydziału Wydziału Matematyki Stosowanej na Leningradzkim Uniwersytecie Państwowym (LGU). Griebienszczikow jest w tym samym wieku co Putin; studiowali na LGU w tych samych latach. Jako student prawa, Władimir Putin prawdopodobnie uczęszczał na koncerty zespołu rockowego Borisa Griebienszczikowa.

W wolnym czasie BG wydawał podziemny magazyn „Roxy". Paradował po ulicach miasta w kolorowej kamizelce, bez koszulki, prezentując kobietom swoją atletyczną sylwetkę. Był trzykrotnie żonaty, kradnąc wszystkie żony muzykom ze swojego zespołu rockowego Akwarium. A co bardziej zdumiewające, wszyscy trzej muzycy, po zdradzie żon oraz przyjaciela... zostali w Akwarium deklarując, że twórcza współpraca z Grebniem jest dla nich ważniejsza niż osobiste szczęście.

Boris Griebienszczikow od pięciu lat mieszka w Londynie. Podróżuje występując solo, a sporadycznie z Akwarium, zespołem złożonym z muzyków z różnych lat działalności grupy. „Złoty" skład Akwarium już dawno rozjechał się po świecie. Griebienszczikow rzadko udziela wywiadów. Znalezienie go w internecie to prawdziwy fart.

Anton Arbatow: Borysie, masz tyle lat co Putin, a on spycha Rosję do przeszłości, marząc o zbudowaniu ulepszonej wersji ZSRR. Fantastyczny sukces Akwarium przypada na radziecki okres twojej kariery. Dziewczyny przesiadywały godzinami na schodach twojego domu, czekając na występ. Czy odczuwasz nostalgię za radzieckimi czasami?

Boris Griebienszczikow: Słowo „radziecki" nie kojarzy mi się pozytywnie. Wszyscy moi przyjaciele i znajomi, którzy dobrze wypowiadają się o Związku Radzieckim, tęsknią za swoją młodością, a nie za Chruszczowem i Breżniewem. W szkole mówiono mi, że urodziłem się w najlepszym kraju na świecie. Nie kwestionowałem tego, ale zapraszałem przyjaciół i słuchaliśmy Elvisa Presleya, Beatlesów i The Dave Clark Five. Bóg uwolnił mnie od tego uczucia nostalgii. Nie rozumiem tego. To, co się dzieje, dzieje się tu i teraz. Wszystko inne to iluzja uformowana w mojej głowie. Z przyjemnością wspominam wiele wydarzeń z mojego trudnego i długiego życia, ale nie jestem nostalgiczny. To, co się wydarzyło, było cudowne. Zostało ze mną i pozostanie. Rosja to Rosja, nieważne jak się nazywa. Związek Radziecki był Rosją, która siłą przyciągała do siebie kraje sąsiednie. Mówiąc delikatnie, traktowała je protekcjonalnie. Mieszkańcy tych krajów niechętnie przyjmowali tę opiekę. Gdyby Związek Radziecki chciał się zmienić i stać się prawdziwą, silną i szanowaną Rosją, głowa państwa wyszłaby do ludzi i publicznie pokutowała za wszystkie straszne grzechy i zbrodnie popełnione przez Związek Radziecki. Taka pokuta nie nastąpiła, nie następuje i nie nastąpi. Rosja nadal jest Związkiem Radzieckim w swoim poprzednim formacie politycznym. Ale w Rosji żyją miliony wspaniałych ludzi. Nie mogę, nie chcę i nie mam prawa mówić o nich źle.

W „Encyklopedii muzyki rockowej" napisano, że Boris Griebienszczikow jest „muzykiem brytyjsko-radziecko-rosyjskim". Kim więc jesteś?

Nikt nie może mi odebrać rosyjskości. To, że siedzę na Rue de l'Odeon (ulicy w szóstej dzielnicy Paryża – red.), nie oznacza, że jestem mniej Rosjaninem. Mówię po angielsku, ale mówię i myślę po rosyjsku, i piszę teksty piosenek po rosyjsku. Oddycham rosyjską kulturą. Gdzie oddycham tym powietrzem, w którym mieście na świecie, nie ma znaczenia. Mieszkam w Londynie od pięciu lat. Uwielbiam to miejsce. Od 20 lat myślałem, jak tu się osiedlić. W końcu się udało. To idealne miejsce do pracy. Są tu wszyscy najlepsi muzycy. Znam wielu z nich osobiście. Są tu najlepsze studia nagraniowe w Europie. Muzyką możesz zajmować się gdziekolwiek jesteś, ale każdy kraj ma swój własny, wewnętrzny, duchowy klimat. Uwielbiam to, że kiedy spaceruję ulicami Londynu, zupełnie obcy ludzie się do mnie uśmiechają. A ja odwzajemniam uśmiech. Trudno to sobie wyobrazić w Rosji.

Nie strzelać do muzyka!

W Rosji uliczni muzycy są prześladowani. Na przykład w twoim rodzinnym Petersburgu muzycy zespołu Stoptime zostali skazani na 13 dni więzienia. Wykonywali utwory artystów uznanych w Rosji za „agentów zagranicznych". Piosenkarce i pianistce Dianie Łoginowej (pseudonim sceniczny Naoko) groziła długa kara więzienia, jeśli będzie nadal śpiewać zakazane utwory. Naoko została zmuszona do opuszczenia Rosji. Nie sądzę, Borysie, żeby podzielała twoje zdanie, że dla muzyka nie ma granic.

Akwarium również było zakazane i prześladowane w czasach radzieckich. Co prawda, nie trafiliśmy do więzienia. Nawet w ZSRR władze nie tolerowały sprzeciwu, ale były bardziej wyrozumiałe i łagodniejsze wobec protestów młodzieży. Nie musiałem dokonywać wyboru. Nie musiałem decydować, w którą stronę pójść. Żelazo nie wybiera czy zatonąć, czy płynąć. Tak, wielu ludzi woli „milczeć", nie zdając sobie sprawy, że oni również, być może nie fizycznie, nie dosłownie, ale w sercu i umyśle, godzą się na życie w koszarach i spanie na pryczach. Ignorancja jest niedopuszczalna, szkodzi twórczości. Nie chciałem mieszkać w koszarach. Samo pojęcie „zagranicy" sugeruje, że istnieje granica, że jesteśmy zamknięci w granicach. Nie chcę być zamknięty. Każdy ma prawo żyć gdzie chce i jak chce. Nikt nie ma prawa dyktować gdzie, jak i z kim ma mieszkać.

Kiedy zostałem zwolniony z pracy, jeszcze jako student, opłakiwałem to nie dłużej niż jeden dzień. Potem poczułem całą duszą i ciałem: jestem wolny! Nikomu nic nie jestem winien! I z jeszcze większą inspiracją zacząłem pisać piosenki dla Akwarium...

...która to grupa ostatecznie stała się kultowym zespołem rockowym dla młodzieży ZSRR. Minęło pół wieku. Macie zakaz koncertowania w Rosji. Czy Akwarium utrzymało publiczność?

Kiedy wychodzę na scenę w Bostonie, Pradze, Wilnie, Taszkiencie, Tbilisi, Berlinie, widzę na widowni te same twarze, które widziałem całe życie. Nadajemy na tych samych falach, na tej samej częstotliwości. Ta nić się nie zerwała. To Rosjanie. Nie uciekli przed sobą. Po prostu się przenieśli. Nie jesteśmy poddanymi. Nie trzeba nas przykuwać do kramu. Gdziekolwiek mieszkamy, pozostajemy sobą, nie tracąc godności ani honoru. Moja publiczność pozostaje taka sama. Wszystko rozumie poprawnie.

W Rosji modne jest teraz śpiewanie o „Matce Ziemi, białej brzozie". Dla jednych to „Święta Ruś", dla innych „cierń". Czy podzielasz tę staroruską melancholię?

Jeśli ktoś lubi, żeby jego ojczyzna była cierniem w czyimś boku, to jest demonem, diabłem. Taki człowiek ma cierń w sercu. Powinien pójść do cerkwi i wypędzić tego demona.

Anton Arbatow, Moskwa
przekład Marta Hofman

eprasa.pl f8a5ea809d

Szefowie tchórzy

Nieczęsto się zdarza, by jakieś państwo tak długo unikało odpowiedzialności za zbrodnie wojenne tej skali. Mowa o Izraelu, który wypiera się i maskuje brutalne, notoryczne gwałcenie prawa międzynarodowego. Tłumienie krytyki jest szczególnie skuteczne w USA, które owe zbrodnie finansują, tolerują i osłaniają.

W ciągu trzyletniej, metodycznej masakry i demolki wszystkiego, Izrael przeistoczył Strefę Gazy, w której egzystowały stłoczone 3 mln Palestyńczyków, w morze ruin i cmentarz 72 300 ludzi. W większości cywilów. „Zawieszenie broni" 10 października 2025 r. niewiele zmieniło: Izraelczycy pogwałcili je ponad 2 400 razy. Po jego ogłoszeniu zabili kolejny tysiąc Palestyńczyków. Ameryka biernie obserwuje wyczyny swego faworyta, śląc mu transporty broni. Większość światowych przywódców przezornie ogranicza się do słów krytyki.

Po „zawieszeniu broni" Izraelczycy nasilili ataki na Zachodni Brzeg – terytorium palestyńskie, które okupują, wbrew rezolucji ONZ, od 1967 r. Na jego obszar nielegalnie wdarło się 500 tys. izraelskich terrorystów, zwanych osadnikami. Institute for National Security Studies w Tel Awiwie konstatuje: „Od początku ataku na Iran trwa intensyfikacja akcji żydowskiego terroryzmu na Zachodnim Brzegu". Lider izraelskiej opozycyjnej Partii Demokratycznej Yair Golan oskarża rząd o „wspieranie żydowskiego terroryzmu, co szkodzi interesowi bezpieczeństwa Izraela". Dziennik „Yedioth Ahronoth" nazywa izraelskich terrorystów, którzy palą domy Palestyńczyków, karczują ich drzewa oliwne i zabijają bydło, „barbarzyńcami ze wzgórz". 90 proc. pogromów uchodzi im bezkarnie; żołnierze izraelscy często przychodzą im z pomocą. W minionych dwóch latach powstało 175 nowych nielegalnych osad na Zachodnim Brzegu. Marionetkowa Rada Pokoju Trumpa, która miała pilotować proces pokojowy w Gazie, zajmuje proizraelskie stanowisko. „Trump wpadł w pułapkę Cieśniny Ormuz i jego Rada stała się dryfującym na oślep okrętem" – stwierdza „Middle East Monitor".

Gdy Netanjahu powiodło się to, co nie udało mu się z czterema poprzednimi prezydentami USA – poszczucie Trumpa do napaści na Iran – izraelskie zbrodnie wojenne nasiliły się i rozszerzyły zasięg. Eksterminacyjną strategię stosowaną do unicestwienia Gazy Netanjahu przeniósł na teren Iranu. Skoncentrował się na bombardowaniach cywilnych zakładów przemysłowych (szczególnie stalowni, np. w Isfahanie i Chuzestanie, by nie były w stanie wytwarzać materiałów do odbudowy) oraz wielkich zakładów farmaceutycznych produkujących leki. Izrael miał i inne, upatrzone cele. Iran był przed napaścią trzecim krajem świata pod względem kształcenia inżynierów (230 tys. – 70 proc. z nich to kobiety); 17 proc. Irańczyków ukończyło studnia wyższe. To wyjaśnia, dlaczego skupiono się na niszczeniu wyższych uczelni, m.in. Uniwersytetu Nauki i Technologii w Teheranie. Bomby zburzyły także 763 irańskie szkoły oraz 316 centrów medycznych. Obracanie placówek oświaty w perzynę zostało przerwane, bo Iran – zamiast bezskutecznie skarżyć się na łamanie prawa międzynarodowego – zagroził odwetem: atakami dronów i rakiet na amerykańskie wyższe uczelnie w Zatoce Perskiej, np. New York University czy American University w Zjednoczonych Emiratach Arabskich.

„Wielki Izrael"

Jednocześnie Netanjahu zarządził eskalację inwazji na Liban. Pod pretekstem rozprawy z partyzantami Hezbollahu, którzy wystrzelili rakiety w odwecie za zabicie ajatollaha Chameneiego, Izrael dąży do okupacji południowej części kraju, wysiedlając ludność (1,2 mln), intensyfikując naloty dywanowe na Bejrut oraz inne miasta. Ataki izraelskie trwają od 2024 r., lecz 8 kwietnia 2026, tuż po formalnym zawieszeniu broni USA z Iranem, był najkrwawszym dniem w sześciotygodniowej inwazji. W ciągu 10 minut miało miejsce ponad 100 uderzeń bombowych, które zabiły ponad 357 cywilów w gęsto zaludnionej stolicy. Wojska izraelskie bez ostrzeżenia atakują obiekty cywilne, stosują taktykę odpowiedzialności zbiorowej. Według danych ONZ, od 2024 r. Izrael pogwałcił zawieszenia ognia z Libanem ponad 15 tys. razy. Dr Zeead Yaghi, historyk w American University w Bejrucie, przypomina: „Izraelski minister obrony oświadczył, że wojska jego kraju pozostaną na południu Libanu przez długi czas, póki Izrael nie nabierze pewności, iż Hezbollah nie stanowi dlań zagrożenia. Posłużył się przykładem Gazy".

Izrael atakuje Liban od lat 70., usiłując unicestwić palestyńskich uchodźców. W 1982 r., podczas dwumiesięcznych zmasowanych bombardowań i oblężenia Bejrutu, Izraelczycy dokonali masakry w palestyńskich obozach uchodźców Sabra i Szatila na peryferiach stolicy, zabijając 3 500 cywilów. 18 lat później, w roku 2000, Izrael wycofał się, bo okupacja Libanu stawała się dlań zbyt kosztowna. Dr Yaghi twierdzi, że obecna okupacja może być jeszcze bardziej krwawa i ludobójcza, bo obecny rząd izraelski jest najbardziej prawicowy i ekstremistyczny w historii kraju. „Celem Izraela jest depopulacja południa Libanu; uczynienie terenów na południe od rzeki Litani niemożliwymi do osiedlania się. Izrael rozpyla zabójcze pestycydy na tereny rolnicze". Taktyka identyczna jak w Gazie.

Eksperci bliskowschodni wskazują, że starania rządu libańskiego o zawarcie pokoju z Izraelem są skazane na klęskę: „Żaden kraj nie osiągnie pokoju z ludobójczym sąsiadem, zdeterminowanym kontynuować eskalację, miażdżyć ruchy narodowowyzwoleńcze, by osiągnąć swój cel – stworzyć kolonialne państwo osadników, wielki Izrael". Koncepcję „wielkiego Izraela" zajmującego obszary Gazy, Zachodniego Brzegu, Syrii, Egiptu i Jordanii stworzyli izraelscy ultranacjonaliści. Netanjahu, pytany w minionym roku w wywiadzie w TV i 24NEWS czy tę koncepcję popiera, odparł: „Absolutnie".

Na Zachodzie zmiany

Po tylu latach władze izraelskie powinny dojść do wniosku, że polityka permanentnego gwałtu, przemocy, apartheidu i okupacji nie zapewni warunków pokojowej egzystencji w regionie. Kierownictwa Hamasu i Hezbollahu były wielokrotnie likwidowane, a jednak ruch oporu zmartwychwstawał. Izraelskie wojska, uzbrojone w najlepszą amerykańską broń, nie będą w stanie go trwale stłumić. Sytuacja nie ulegnie zmianie, dopóki Izrael nie zaakceptuje rezolucji ONZ nakazującej mu utworzenie niepodległego Państwa Palestyńskiego w granicach sprzed 4 czerwca 1967 r., ze wschodnią Jerozolimą jako stolicą. Gdyby to nastąpiło, a mimo wszystko Arabowie podejmowaliby agresywne akcje przeciw Izraelowi, miałby on murowane poparcie całego świata w ich zwalczaniu.

Od lat świat obserwuje bliskowschodnie piekło Palestyńczyków i co najwyżej zdobywa się na słowa krytyki; formułuje puste rezolucje wzywające do zakończenia okupacji i utworzenia Państwa Palestyńskiego. 21 kwietnia Amnesty International odniosła się do tej polityki *appeasement*, nazywając Europę „szefem wszystkich tchórzy". Ostatnio Unia próbuje wychodzić poza ramy werbalnego potępiania. Hiszpania, Irlandia, Słowenia i Belgia wezwały do zawieszenia współpracy z Izraelem. Inicjatywę blokują Niemcy, które mają poczucie winy za Holokaust i – wbrew opinii większości swych obywateli – osłaniają Izrael.

Kluczowe znaczenie ma jednak stanowisko Stanów Zjednoczonych. Tu również trzeba odnotować ewolucję. Nie w polityce władz (postępowanie Bidena było niewiele lepsze niż obecne Trumpa), lecz reakcji społeczeństwa. Amerykanie przez długi czas stanowczo popierali Izrael, traktując postulaty arabskie co najmniej nieufnie. To się zmienia. Sondaż z 7 kwietnia pokazał, że 60 proc. Amerykanów ma negatywną opinię o Izraelu (w ub. roku – 53 proc.). 80 proc. demokratów i 41 proc. republikanów potępia jego poczynania. Mniej niż 30 proc. Amerykanów darzy zaufaniem Netanjahu. Więcej Amerykanów (szczególnie młodych) sympatyzuje z Palestyńczykami niż z Izraelem (41 do 30 proc.). 57 proc. Amerykanów popiera utworzenie Państwa Palestyńskiego. To ewolucja o wymiarach tektonicznych. Potępienie byłoby silniejsze, gdyby do Amerykanów docierały np. raporty zagranicznych lekarzy pracujących w Gazie, którzy alarmują, że wiele z 20 tys. dzieci palestyńskich, które straciły życie, zostało zabitych z premedytacją przez Izraelczyków celujących w głowy, serca i genitalia.

Janusz Zawodny, Tampa (Floryda)

eprasa.pl f8a5ea809d

WIRÓWKA

Pierwszą literę odgadniętego hasła wpisujemy do środkowego, drugą do zaznaczonego pola, a następnie prawoskrętnie. Litery z pól ponumerowanych w prawym dolnym rogu utworzą rozwiązanie.

1) działa dla wywiadu, 2) decyduje o kroju ubrania, 3) naciskany przy strzale, 4) odbicie oryginału, 5) łączy głowę z tułowiem, 6) dolna część masztu na jachcie, 7) rytm wyczuwalny pod palcami, 8) wysoki głos operowy, 9) podłoże pod budowę, 10) grzęzawisko bez dna, 11) opowieść z morałem, 12) droga ubita przez podróżnych, 13) potwierdza jakość wyrobu, 14) jajeczna potrawa z patelni, 15) pierwsza lub domowa, 16) na nogach sprintera, 17) grupa jednego gatunku, 18) ochrona pod skrzydłami bogów, 19) rozpoznanie w terenie, 20) nagroda na szyi zwycięzcy, 21) tablica nad wejściem, 22) element naboju, 23) papka dla niemowlęcia, 24) chronią oczy na stoku, 25) łapią wiatr na morzu, 26) pisze po tablicy, 27) straciła męża, 28) daje mleko, 29) koń w pasy, 30) zajęcie w wolnym czasie, 31) lekka komedia sceniczna, 32) dodaje energii do działania, 33) język ulicy, 34) zielona część pietruszki, 35) porusza gałęziami, 36) nocleg pod namiotem, 37) objaw przeziębienia, 38) kradnie błyskotki, 39) irracjonalny strach, 40) skupuje kradzione rzeczy, 41) kowboje spadają z byka, 42) biały nalot na gałęziach, 43) gra na 21 lub dziurka w pończosze, 44) wznoszony za zdrowie, 45) podpora dla staruszka, 46) ofiara zbrodni, 47) mebel z trunkami, 48) towarowa łódź rzeczna, 49) ostra przyprawa korzenna, 50) zwrot nie do przełożenia, 51) kwaśny napój mleczny, 52) wskazujący lub serdeczny, 53) anglosaska jednostka długości, 54) symbol życia w skorupce, 55) koński lub krowi nawóz, 56) noszona na ramieniu, 57) myjka w łazience, 58) ryba przed rekinem, 59) nagłe wzruszenie, 60) morska jednostka odległości, 61) guma na feldze, 62) pozwala widzieć świat, 63) czarna w kominie, 64) podstawa krupniku, 65) można je pokrzyżować, 66) dowód niewinności, 67) czerwony kamień szlachetny, 68) bok statku, 69) początkujący w zawodzie.

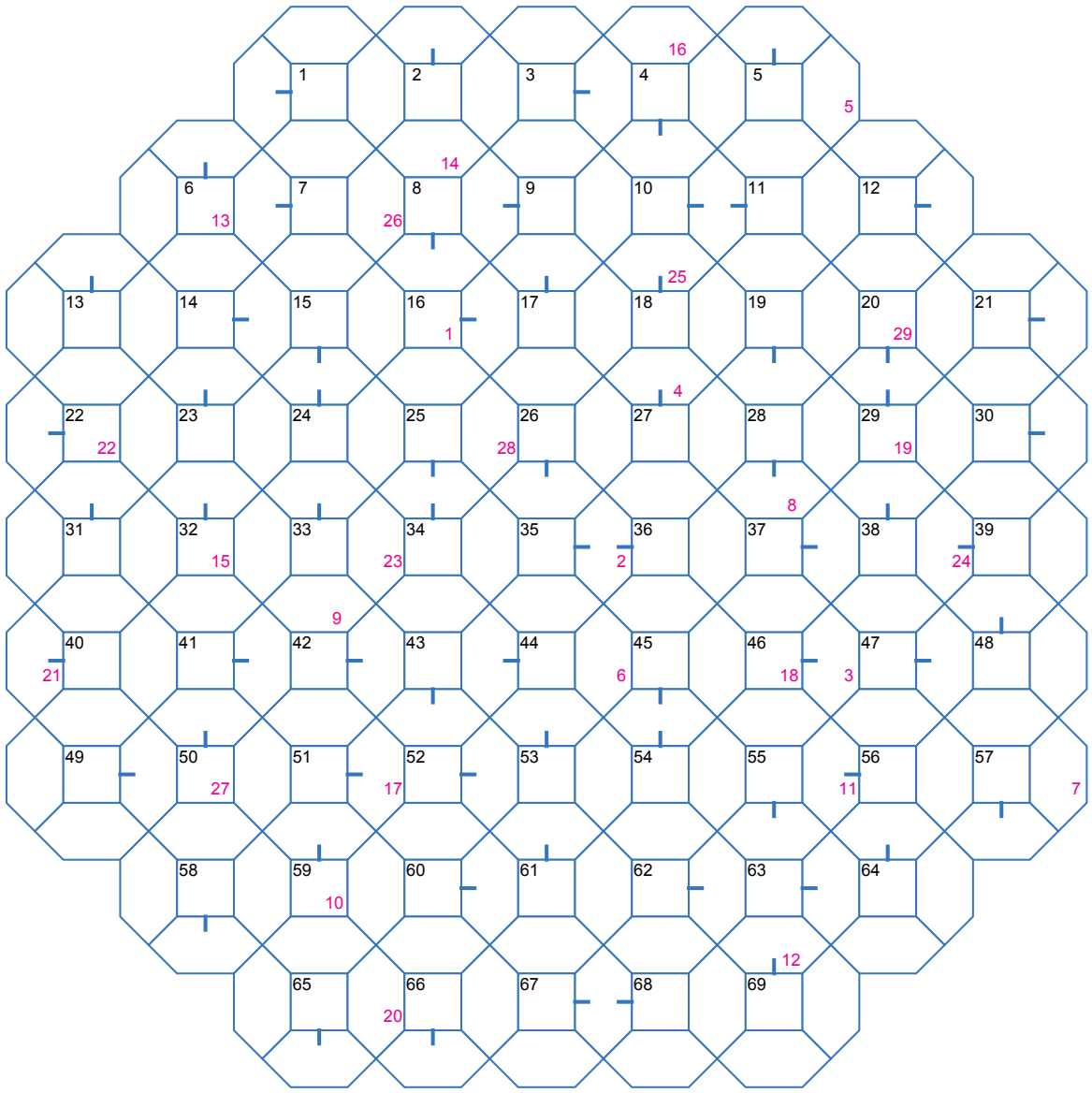

Rozwiązania krzyżówki prosimy nadsyłać w terminie 7 dni od ukazania się aktualnego numeru „FpM” na adres: krzyzowka@faktypomitach.pl lub pocztą pod adresem redakcji: „Fakty po Mitach”, ul. Łąkowa 11, 90-562 Łódź (biurowiec Tower Building).

Przesyłając rozwiązanie krzyżówki wyrażam zgodę na przetwarzanie moich danych osobowych przez administratora w celu przeprowadzenia konkursu/krzyżówki, w tym publikacji w „FpM” imienia, nazwiska i miejscowości zwycięzcy. Regulamin na stronie www.faktypomitach.pl

Rozwiązanie krzyżówki z numeru 17/2026:
„ZAWSZE CHCIAŁEM MIEĆ KOTA”.
Nagrody otrzymują:
Stanisław Pućkowski z Kłodzka, Adrian Małek z Dłutowa, Marek Kardasz ze Swarzędza.

– Dlaczego na polowaniu strzelał pan do swojego kolegi? – pyta sędzia na rozprawie.
– Wziąłem go za sarnę.
– A kiedy spostrzegł pan swoją pomyłkę?

– | 1 | 2 | 3 | 4 | 5 | | 6 | 7 | 8 | 9 | 10 | | 11 | 12 | 13 | 14 | 15 | 16 | 17 | 18 | 19 | 20 | 21 | 22 | 23 | | 24 | 25 | 26 | 27 | 28 | 29 | .

Kuria bez apelacji

Archidiecezja poznańska nie złożyła apelacji w procesie o zadośćuczynienie dla ofiary księdza z Chodzieży. Czy poznański Kościół zmienił wreszcie podejście do odpowiedzialności finansowej za swoich podwładnych?

Krzysztof miał 13 lat, gdy do parafii pw. Nawiedzenia Najświętszej Maryi Panny w Chodzieży (woj. wielkopolskie) przyszedł nowy wikariusz ks. Marek J. Opiekował się ministrantami, organizował spotkania i wyjazdy. Ksiądz „zaprzyjaźnił się” z Krzysztofem i dał mu pierwszy telefon komórkowy. Z czasem coraz bardziej skracał dystans. W końcu zaproponował chłopcu nocleg na plebanii. Później przez dwa lata wykorzystywał go seksualnie, masturbował, namawiał do wspólnych kąpieli i kazał masturbować siebie. Wszystko to poskutkowało u chłopca traumą, nerwicą żołądka i zespołem jelita drażliwego.

Po latach, już jako dorosły mężczyzna, Krzysztof zdecydował się na psychoterapię i konfrontację z księdzem J. Odnalazł go w parafii w Boruszynie. Miał ze sobą dyktafon. Na nagraniu słychać, jak duchowny mówi, że dokonał tych czynów, bo „nie miał wtedy świadomości, że krzywdzi”. Tłumaczył się „błędami młodości”. Postępowanie karne przeciwko niemu zostało umorzone. Powodem było przedawnienie. Krzysztof wystosował więc do poznańskiej kurii wezwanie do wypłaty zadośćuczynienia. Wniosek zignorowano. W kościelnym śledztwie nie stwierdzono też winy księdza. Walka o sprawiedliwość musiała przenieść się do sądu cywilnego. Sąd uznał nagranie za pełnoprawny dowód i stwierdził, że postępowanie kościelne „nie było bezstronne i prowadzone w dobrej wierze”. Podczas procesu cywilnego Marek J. konsekwentnie wypierał się molestowania dziecka. Po latach sąd przyznał jednak byłemu ministrantowi 300 tys. zł odszkodowania i 160 tys. zł ustawowych odsetek.

I tu następuje niespodziewany zwrot w sprawie. Kuria poznańska nie odwołała się od tego wyroku. Czy zmiana podejścia do ofiar księży pedofilów ma ścisły związek z przetasowaniami we władzach archidiecezji poznańskiej? Od około roku jej pracami kieruje abp Zbigniew Zieliński, który zastąpił na tym stanowisku Stanisława Gądeckiego. A może z uwagi na narastającą niechęć opinii publicznej do praktyk kat. Kościoła w tej kwestii zdecydował się złożyć broń?

– Nie wiem, z jakiego powodu w tej sprawie kuria poznańska postąpiła inaczej – mówi „FpM” mecenas Jarosław Głuchowski, który reprezentował w sądzie byłego ministranta z Chodzieży. – Chciałbym wierzyć, że to zmiana podejścia i chęć szybkiego zadośćuczynienia pokrzywdzonym. Doświadczenie zawodowe podpowiada jednak, że była to chłodna kalkulacja potencjalnych korzyści i strat z zaskarżenia wyroku – kwituje.

Katarzyna Wilk-Wojtczak

eprasa.pl f8a5ea809d

Przyrządzanie pożywienia jest sztuką magiczną i jeśli wszystko robi się dobrze, jedzenie ma moc zmiękczania nawet najtwardszych serc. (...) kto robi to, co kocha, ten na co dzień ma do czynienia z czystą magią.

„Sto odcieni bieli" Preethi Nair

Nie ma dwóch takich samych curry,

czyli jeszcze kilka słów o kuchni indyjskiej

Ciotka opowiadała, że kiedy była w Szwajcarii na trzydniowych spotkaniach organizowanych przez Światowy Uniwersytet Duchowy Brahma Kumaris, każdy uczestnik miał jakieś zadania do wykonania. Najspokojniejsi, zrównoważeni pracowali w kuchni, bo podobno energia gotującego oddziałuje na tych, którzy jedzą to, co zostało przygotowane. Może warto o tym pamiętać?

A dziś będzie aromatycznie i egzotycznie, ale nie do końca.

Curry na wiele sposobów

Pierogi lub naleśniki z farszem curry: ugotujcie oddzielnie 150 g kaszy jaglanej lub drobnej jęczmiennej i 200 g czerwonej soczewicy. Pokrójcie cebulę w kostkę, posiekajcie 2-3 ząbki czosnku i podsmażcie na klarowanym maśle, podlejcie 3 łyżkami bulionu, duście, aż się zeszklą. Dodajcie pół łyżki curry, chwilę duście, dodajcie kaszę i soczewicę, podlejcie warzywnym bulionem, doprawcie solą i pieprzem, dokładnie wymieszajcie farsz. Przesmażcie razem. Przygotujcie ciasto na pierogi, jakie zawsze robicie, rozwałkujcie, wykrójcie kółka, napełnijcie farszem, zlepcie brzegi. Gotujcie w osolonym wrzątku do wypłynięcia na powierzchnię. Serwujcie polane rozpuszczonym masłem, posypane szczypiorkiem lub natką. Możecie ugotowane pierogi przesmażyć na maśle klarowanym.

Sałatka z kalafiora: podzielcie kalafiora na różyczki, natrzyjcie oliwą, posypcie przyprawami: curry, solą, pieprzem. Rozłóżcie na blasze, pieczcie w 200°C do chwili, gdy będzie złocisty, ale chrupki. Przełóżcie go do miski, dodajcie pokruszony ser manouri lub fetę, garść suszonej żurawiny lub posiekanych orzechów włoskich, natkę pietruszki lub, jeśli lubicie, kolendry. Doprawcie sokiem z cytryny.

Kalafiorowe curry: pokrójcie cebulę w kostkę, posiekajcie 2-3 ząbki czosnku, zeszklijcie na klarowanym maśle. Po chwili dodajcie wypestkowane, pokrojone w krążki chili, curry (lub po pół łyżeczki: kardamonu, suszonych zmielonych nasion kolendry, pieprzu, kurkumy, po szczypcie: cynamonu, zmielonych goździków, gałki muszkatołowej) i mieszając, smażcie. Potem włóżcie mały kalafior podzielony na różyczki i drobno pokrojony głąb, smażcie. Po 5 min dodajcie pęczek dymki pokrojonej w plasterki i chwilę smażcie. Podlejcie 200 ml bulionu, przykryjcie, duście ok. 15 minut. Podawajcie z ryżem, posypcie ziarnami owoców granatu.

Z kalafiora, ziemniaków i zielonego groszku: pokrójcie cebulę w kostkę, posiekajcie 2-3 ząbki czosnku, razem podsmażcie na rozgrzanym klarowanym maśle. Po chwili dodajcie wypestkowane, pokrojone w paseczki chili, łyżeczkę curry lub garam masali, pół łyżeczki kurkumy i sól. Smażcie chwilę. Dodajcie pokrojone w półplasterki ziemniaki i mieszając, smażcie ok. 5 minut. Na koniec dołóżcie podzielony na różyczki kalafior, smażcie aż warzywa będą prawie miękkie, włóżcie zielony groszek z puszki, podlejcie bulionem i duście do miękkości, ale ziemniaki i kalafior nie powinny się rozpadać. W ostatniej chwili dodajcie pół szklanki jogurtu wymieszanego z łyżką mąki i zagotujcie. Doprawcie do smaku.

Z soczewicy: umyjcie 200 g soczewicy, zalejcie 1½ l zimnej wody, dodajcie ½ łyżeczki kurkumy, sól, pieprz i gotujcie do miękkości pod pokrywką, często mieszając. Pokrójcie pęczek dymki, dodajcie do niej drobno posiekane 2 ząbki czosnku, 2 pokrojone w krążki strączki chili (bez pestek), jedną paprykę bez gniazd nasiennych pokrojoną w paseczki. Smażcie wszystko 2-3 minuty na klarowanym maśle, dodajcie po łyżce: garam masali, mielonej kurkumy, kolendry, kminu rzymskiego, wlejcie soczewicę i gotujcie kilka minut. Doprawcie solą i pieprzem.

Tajlandzka wołowina: zrumieńcie na oleju 750 g pokrojonej w kostkę wołowiny. Wyjmijcie mięso, włóżcie do oleju 500 g ziemniaków i cebuli pokrojonych w kostkę podobnej wielkości jak wołowina. Smażcie razem kilka minut. Wyjmijcie. Dodajcie do oleju 3 łyżki czerwonej pasty curry i 2 łyżki sosu sojowego, owoc tamaryndowca i 350 ml mleka kokosowego. Zagotujcie. Włóżcie mięso, warzywa, 3 liście murrai lub 2 laurowe, 4 zgniecione owoce kardamonu. Duście pod przykryciem ok. 2 godzin, ewentualnie podlejcie wodą.

Pikantna zupa z soczewicy

Pokrójcie w średnią kostkę cebulę, zeszklijcie na maśle klarowanym, dodajcie przeciśnięte przez praskę 2-3 ząbki czosnku, wsypcie 2-3 łyżki ostrego curry, duście razem. Wlejcie litr bulionu warzywnego, jeśli ma być wegetariańska lub rosołu z kury. Umyjcie 200 g czarnej soczewicy, dodajcie do wywaru i zagotujcie. Przykryjcie garnek pokrywką i gotujcie ok. 15 minut na malutkim ogniu. Sparzcie 3 średnie pomidory, obierzcie je ze skórki, wypestkujcie, pokrójcie miąższ w kostkę, przełóżcie do zupy, doprawcie solą, dodajcie 2-3 łyżki pasty z tamaryndowca. Gotujcie jeszcze 5 minut. W tym czasie obierzcie mango, pokrójcie w paseczki, podgrzejcie w zupie. Przed podaniem posypcie listkami mięty.

Warzywa duszone w jogurcie

Pokrójcie 3 cebule w grubą kostkę i przesmażcie. Dodajcie 2 strączki chili pokrojone w paseczki (bez nasion), drobno posiekajcie 2 ząbki czosnku i 50 g świeżego imbiru, dodajcie do cebuli, przesmażcie, włóżcie 3 łyżki garam masali, ½ łyżki kurkumy, smażcie chwilę. Wlejcie 200 g jogurtu wymieszanego z 2 łyżkami mielonych migdałów, 2 łyżkami koncentratu pomidorowego i ½ szkl. wody. Wsypcie pokrojone w średnią kostkę: 400 g ziemniaków, małego bakłażana oraz średnią cukinię. Wymieszajcie. Duście pod przykryciem do miękkości. Doprawcie solą, posypcie zieloną kolendrą lub natką pietruszki.

Pikantny kurczak na zimno

Wymieszajcie 3 łyżki jogurtu z ½ łyżeczki garam masali, ½ łyżeczki kurkumy i solą. Taką mieszanką natrzyjcie 12 podudzi kurczaka bez kości i skóry lub 6 piersi. Odstawcie na godzinę. Zagotujcie 600 ml bulionu z kurczaka z 4 owocami kardamonu i liściem murrai (lub laurowym). Włóżcie kurczaka i ugotujcie. Wyjmijcie mięso i połóżcie na półmisku. Stopcie 25 g masła, dodajcie łyżkę mąki, przesmażcie i włóżcie ½ łyżki garam masali, ½ łyżki kurkumy i sól. Wlejcie bulion, gotujcie ok. 15 minut, mieszając co jakiś czas. Doprawcie kwiatem muszkatołowym, solą, kardamonem. Na koniec dodajcie 4 łyżki gęstego jogurtu. Polejcie mięso i ostudźcie.

Ryba po indyjsku

Pokrójcie 350 g filetów rybnych w paski o szerokości ok. 2,5 cm. Wymieszajcie w miseczce łyżkę kurkumy, łyżkę świeżego, drobno pokrojonego imbiru, ½ łyżeczki, chili, sól i pieprz. Dodajcie 2 łyżki octu winnego i rozgnieciony ząbek czosnku. Dokładnie wymieszajcie. Rozgrzejcie w naczyniu do głębokiego smażenia olej. Wymieszajcie połowę filetów z przyprawami, usmażcie, by wierzch był złocisty. Wyjmijcie, przełóżcie do ogrzanego naczynia, które przykryjcie. Wymieszajcie pozostałą część ryby z resztą przypraw. Usmażcie tak samo, podawajcie z cząstkami limonki.

Stronę redaguje **Joanna Cyterska**

eprasa.pl f8a5ea809d

O wyższości onuc

Z gadziej perspektywy

Jest maj, to i lęki mnie nachodzą. Już na sam dźwięk powszechnie wtedy wypowiadanego słowa. Tego na literę „eM”.

Kiedy słyszę „matury”, to zaraz zimny pot mnie oblewa. Nie dlatego, że boję się ją zdawać. Maturę już mam, przedwojenną jeszcze. Zdaną przed wprowadzeniem „stanu wojennego”. Skutecznie w IV Liceum Ogólnokształcącym w Częstochowie, mam to potwierdzone na piśmie. Nawet z obowiązkowej wtedy matematyki. Cóż, cuda się zdarzają.

Dziś drżę na hasło „matura” jedynie z powodu zakorzenionej we mnie głębokiej empatii. Automatycznie wczuwam się w stany psychiczne i emocjonalne młodzieży do egzaminów przystępującej. I jednocześnie, jako człowiek już sterany życiem, drżę na myśl, co ich czeka już po zdaniu matury. Egzaminu, jak każdy inny, do zdania. Nawet przez głupola. W razie wątpliwości mogę służyć nazwiskami.

Ale, jak wszyscy absolwenci już wiedzą, prawdziwe problemy maturalne zaczynają się dopiero po jej zdaniu. Kiedy trzeba wybrać studia i potem iść na nie. A iść trzeba. Wszyscy dobrze wiecie, dlaczego – nie muszę tego tłumaczyć. Zwłaszcza tym, którzy na studia wyższe już poszli.

Choć kiedyś, za czasów mojej młodości, nie wszyscy studiować musieli. Wtedy człowiek, zwłaszcza chłopak, miał wybór. Jeśli zdał maturę, a nie poszedł na studia, bo nie chciał albo go nie przyjęli, bo nie zdał obowiązkowych wtedy egzaminów, to mogli go wziąć od razu do wojska. Na całe dwa lata. Albo nawet na trzy, jeśli skierowano go do marynarki wojennej.

Wtedy przez te lata nie musiał już myśleć, bo wojsko myślało za niego. Miał darmowy wikt i opierunek. A po złożeniu przysięgi na wierność naszej Ojczyźnie i nieagresywnemu Układowi Warszawskiemu dostawał jeszcze kasę na papierosy lub ich przydział, kiedy były deficytowe. Takie dzisiejsze 800+. Wtedy też nieważne było, czy chcesz te fajki, czy nie. Mogłeś je wypalić, dać kolegom, mogłeś zamienić na wódkę. Na wszystko, nawet na książki, znałem takiego. Bo należały ci się te fajki jak psu buda. Bo, jak wtedy mawiano, „w wojsku jest chu… ale zawsze jednakowo”.

Obrona nie płaci

Wojsko było szkołą życia dla niejednego chłopaka. Niejeden dopiero w wojsku dowiedział się, że trzeba myć zęby, i to nawet dwa razy dziennie. Szczoteczką do zębów i pastą też do zębów. Pasta ta przydawała się również do czyszczenia suwadła kałacha. Błyszczał potem jak tygrysi ząb, już po umyciu. Dla niejednego wojsko jak studia było. Niejeden podciągnął się tam z ortografii. Każdy, kto chciał prawko jazdy zrobić, mógł je zrobić. Za darmo! Bez zmarnowanych godzin na placu manewrowym. To prawko jazdy mogło być też na traktor, ciągnik z naczepą, ciężarówkę. Po wyjściu do cywila było jak znalazł. A jeśli trafiłeś do kwatermistrzostwa, to szybko starsze wojsko i kraść cię nauczyło. Zaczynało się od kalesonów i ołówków, kończyło na benzynie. Potem w cywilu łatwiej było takiemu pierwszy milion ukraść, kiedy już weszły te reformy Balcerowicza.

Na przepustce każdy żołnierz panem był. Nie obowiązywały go bilety kolejowe i komunikacji miejskiej. Nawet kinowe. „Obrona granic nie płaci za nic”, wystarczyło powiedzieć. Poza tym mundur wojskowy, zwłaszcza ten wyjściowy, dodawał męskości. Działał jak afrodyzjak nie tylko na kobitki. Najsilniej mundur marynarski. Ten wart był służby trzyletniej.

Leszek Miller, przed służbą Ojczyźnie w Sejmie i rządzie, trafił do łodzi podwodnej. Prawdziwej, bo kiedyś takie w polskiej marynarce były. Do dziś pamięta zapach załogi wydzielany po trzech dniach pełnego zanurzenia. Potem żaden smród już nie jest straszny.

Niestety, dzisiejszy kandydat na premiera musi na jakieś studia iść. Sama matura nie wystarcza. Taki dziś klimat mamy. Z innej strony, każdy, kto chce wielką karierę zawodową zrobić, zwłaszcza w szołbiznesie albo w polityce, musi praktykować od najmłodszego.

Dziś powszechnie znaną tajemnicą jest, że około 20 proc. studentów pierwszego roku na polskich uczelniach – zaraz po formalnym zapisaniu się na studia, pobraniu studenckiej legitymacji i innych kwitów – przestaje uczęszczać na zajęcia. Stają się „martwymi duszami”.

Różne są wyjaśnienia tego zjawiska. Mogą to być młodzi ludzie, którzy już pracują i jednocześnie chcą mieć studenckie zniżki. Komunikacyjne, podatkowe. Przez lata studiują na pierwszym roku, co roku zmieniając uczelnię. Ponieważ uczelnie dostają pieniądze za każdego studenta, a nie absolwenta, nie walczą z tym procederem.

Produkcja magistrów

Słyszałem też, że wśród tych studenckich „martwych dusz” są przyszli politycy, którzy nie mają czasu na zajęcia na uczelni, a muszą mieć coś do wpisania w rubryce „wykształcenie” ankiet personalnych. I tak studiują.

Spotkałem wielu wybitnych dziennikarzy, polityków, artystów, którzy nie mieli wyższego wykształcenia potwierdzonego dyplomem uczelni. Choćby Aleksandra Kwaśniewskiego, Tadeusza Mazowieckiego, Jerzego Urbana, Adama Michnika, Andrzeja Rozenka. Dziś jednak bez dyplomu trudno funkcjonować w świecie polityki i związanego z nią biznesu. Skoro jest popyt na wykształcenie potwierdzone dyplomem jakiejś uczelni z przymiotnikiem „wyższa”, to nie dziwmy się, że powstała niejedna taka, której zadaniem było „umagistrowienie” chętnych. Za stosowne do okoliczności opłaty. Niestety, jedna z nich tak rozkręciła działalność, że można było uzyskać tam gustownie wyglądający dyplom nawet bez uczęszczania na jakiekolwiek zajęcia. Nie dziwmy się temu. Oferowano mi kiedyś dyplom doktora nauk politycznych firmowany przez jedną z ukraińskich uczelni.

W życiu trzeba mieć minimum szczęścia. Ta polska uczelnia nie miała. Dziennikarze, psy mediów, wytropili proceder kupowania lewych dyplomów. Przykleili do afery ludzi tak poważnych, jak choćby były marszałek Sejmu RP Szymon Hołownia i obecny wicemarszałek Krzysztof Bosak. Pierwszy karierę kończący, drugi typowany przez prawicowe media na przyszłego ministra spraw zagranicznych. Nie wiem, jak było naprawdę. Czy tak chcieli, czy ich wrobiono. Z drugiej strony, mogło im trafić się gorzej. Mogli naprawdę ukończyć prawdziwą, szanowaną na świecie uczelnię wyższą i być przez media jeszcze bardziej plugawionymi. Myślę o moskiewskim Państwowym Instytucie Stosunków Międzynarodowych, znanym w Polsce pod skrótem MGIMO.

Dlatego kandydatom na marszałków Sejmu radzę iść do wojska.

Piotr Gadzinowski

WITAMY W KLUBIE

Ojciec Oktan, Proboszcz Naszej Parafii, właściciel Najtklubu i mój szef, u którego odpracowuję pożyczkę oraz czynsz (moje mieszkanie jego „fachowcy” skutecznie wyłączyli z użytkowania spektakularnym wybuchem gazu, wskutek czego cały Blok stoi wygięty niczym faja i czeka na remont), ogłosił w końcu nazwę mego miejsca pracy. Wcześniej przez chwilę działało, lecz od dłuższego czasu było zamknięte, aby obciąć koszty. Nie trzeba płacić za media, wypłaty są robione tylko dla garstki pracowników zapewniających konserwację budynku, a i klienci się nie skarżą. O. Oktan, wzorem Bruce'a Lee hołdującego „sztuce walki bez walki” w kultowym „Wejściu Smoka”, wymyślił „robienie interesu bez interesu”, co przyniosło mu spore oszczędności przy jednoczesnym braku zużycia materii najtklubowej i znacznym wzroście jego wartości na rynku nieruchomości.

Lokal od dzisiaj ma się nazywać Najtklub w Chmurach, co może być odniesieniem do niebiańskich wrażeń klientów; albo jego niepewnej przyszłości. Właściwie cała idea działania Najtklubu, wraz z jego nazwą, świetnie by pasowała do modelu rządzenia obecnej koalicji, która chęci może ma i dobre, ale na obcinaniu kosztów i wspomnianych chęciach zazwyczaj kończy swe „rządy”. Taka „sztuka rządzenia bez rządzenia”. No, chyba że swe osiągnięcia rządzący trzymają właśnie w „chmurze”, lecz nie mają do niej hasła, jak pewien prezes od kryptowalut. A może ich mottem jest „Tiszej budiesz, dalsze zajedziesz”?

OBYWATEL JANEK

eprasa.pl f8a5ea809d

Spod kardynalskiego kapelusza

Zmarł arcybiskup kontrowersji

3 maja zmarł w Przemyślu jeden z najbardziej kontrowersyjnych hierarchów Kościoła rzymskokatolickiego w Polsce, emerytowany metropolita przemyski abp Józef Michalik.

Powodów kontrowersji jest wiele, w tym felietonie omówię jedynie najważniejsze. Zmarły metropolita urodził się 20 kwietnia 1941 r. w Zambrowie i tam spędził dzieciństwo. Przedwojenny Zambrów był znany z kilku jednostek wojskowych i właśnie wojsko miało największy wpływ na jego rozwój. Ojciec przyszłego arcybiskupa, Dominik, był urzędnikiem ratusza, więc rodzina uchodziła za raczej zamożną, co nie było w tym mieście, a tym bardziej w okolicznych wsiach częste.

Początek czarnego szlaku

Po maturze, którą Józef zdał w miejscowym liceum, jako siedemnastolatek w 1958 r. wstąpił do Wyższego Seminarium Duchownego w Łomży i tam sześć lat później przyjął święcenia kapłańskie. Tylko rok pracował jako wikary, bo już w seminarium zwrócił na siebie uwagę przełożonych i znalazł wpływowych protektorów, którzy zadbali o jego dalszą karierę. Kiedy seminaryjni koledzy Józefa uczyli religii, spowiadali i odprawiali msze, on studiował teologię moralną na Akademii Teologii Katolickiej w Warszawie, a potem robił doktorat na Papieskim Uniwersytecie Świętego Tomasza z Akwinu w Rzymie. Nigdy nie chciał odpowiadać na pytanie, jak to się stało, że w 1969 r., gdy inni księża mogli o tym jedynie pomarzyć, młody i nikomu nieznany kapłan diecezji łomżyńskiej dostał zgodę nie tylko swojego ordynariusza, ale także Służby Bezpieczeństwa na wyjazd do Rzymu.

Lata studiów rzymskich to dla niego nie tylko czas zdobywania upragnionego doktoratu, ale także niezwykle cennych kontaktów z wpływowymi hierarchami Kościoła powszechnego. Po zrobieniu doktoratu w 1973 r. jeszcze o rok opóźnił powrót do Łomży, czego domagał się ordynariusz łomżyński. Ale kiedy od 1974 r. sprawował w swojej rodzimej diecezji zaszczytne funkcje kurialne, jego serce nadal biło nadzieją na powrót do słonecznego Rzymu. Zabiegi duchownego w końcu przyniosły oczekiwany skutek. Po czterech latach wrócił tam i objął zaszczytne stanowiska rektora Papieskiego Kolegium Polskiego i urzędnika watykańskiego w Papieskiej Radzie do spraw Świeckich. Właśnie ta posada stała się dla młodego księdza z diecezji łomżyńskiej prawdziwą trampoliną w kościelnej karierze.

Rektor – kierownik akademika

Kolegium funkcjonuje w obecnym miejscu (przy Piazza Remuria 2A) od stu sześćdziesięciu lat. Spełnia rolę hotelu lub akademika zorganizowanego na wzór klasztoru, gdzie polscy księża studiujący na papieskich uniwersytetach w Rzymie mają nie tylko zaplecze hotelowe, ale też wsparcie w formacji i w swoich studiach. W czasach, gdy Kościołem w Polsce jednoosobowo zarządzał prymas kard. Stefan Wyszyński, Kolegium było zarządzane przez rektora, którego sam wybierał. Taki nominat był tam jego „okiem i uchem". Niejeden raport przesłany do prymasa przerwał nie tylko studia rozrywkowego kapłana czy zakonnika, ale także jego dalszą karierę. Wielu rektorów za swoje oddanie prymasowi doczekało się fioletowych sutann, kościelnych godności, ale przede wszystkim jego dozgonnej wdzięczności.

W latach 1965-1978 rektorem Kolegium i wybrańcem prymasa był ks. Bolesław Wyszyński. (Moi informatorzy, zarówno ci rzymscy jak i krajowi, nie potrafią potwierdzić lub zaprzeczyć, czy nazwisko miało tutaj jakieś znaczenie). A działo się wtedy w Kolegium (i dzieje nadal) naprawdę wiele. Gdyby mury tego szacownego gmachu mogły mówić, to opowiedziałyby o pijackich imprezach i orgiach, które niewiele miały wspólnego z dysertacjami doktorskimi przyszłych biskupów czy wykładowców „świętej teologii".

Opisy tych wydarzeń trafiały na biurko prymasa Polski, który nieudolnie próbował z nimi walczyć. Bolesław Wyszyński wprowadził tam rygorystyczne (jak dla księży) zasady: zakaz nadużywania alkoholu i zakaz przyjmowania gości po godzinie dwudziestej drugiej. Do dziś krążą opowieści, wspominane najczęściej przy imieninowym kieliszeczku, jak to nawet biskupi wchodzili przez uchylone okna na parterze Kolegium i to niemal w kompletnej ciszy, aby nie obudzić śpiącego rektora. Takie zachowania studiujących księży były niemal powszechne; szczególnie w weekendy.

Nie wiadomo dokładnie, w jakich okolicznościach w ostatnich miesiącach życia papieża Pawła VI ksiądz prymas niespodziewanie odwołał ks. Bolesława Wyszyńskiego z funkcji rektora. Wszyscy opowiadający o tym księża są zgodni, że nastąpiło to, kiedy ktoś „życzliwy" poinformował prymasa, że jego „rzymskie oko i ucho" śle raporty nie tylko jemu, ale także SB, jako od lat jej tajny współpracownik. Potwierdzają to archiwa Instytutu Pamięci Narodowej. I tutaj wracamy do bohatera naszego felietonu, młodego księdza z diecezji łomżyńskiej.

Swój chłop

Nie wiemy, kto wiosną 1978 r. zwrócił uwagę S. Wyszyńskiego na tego ambitnego młodego księdza, który kilka lat wcześniej był studentem i mieszkańcem Kolegium, a z woli prymasa został jego rektorem. Nominacja ta była przełomowym momentem w życiu wówczas 37-letniego ks. Józefa. W kościelnej karierze władza, pieniądze, wpływy, protekcja, ale i informacja mają pierwszorzędne znaczenie. A to wszystko dawała funkcja rektora miejsca, gdzie mieszkał niemal każdy polski kapłan studiujący w Rzymie. A gdy się wie niemal wszystko o niemal każdym, to nie dziwi, że hierarchowie okazują życzliwość temu, kto z jednej strony wie dużo o nich samych, a z drugiej – jest zwolennikiem takiej samej wizji instytucji, na czele której stoją. To samo myśli o kościelnej pedofilii i konieczności ochrony kościelnych kadr, jest przekonany o potrzebie utrzymywania wpływu na politykę i polityków, a przede wszystkim nie ma nic przeciwko gromadzeniu przez kościelnych kolegów majątków, łupieniu budżetowych funduszy i nieograniczonemu korzystaniu z dobrodziejstw, jakie daje im polski konkordat. Czy zatem ktoś taki nie powinien stać, i to jak najdłużej, na czele polskiego episkopatu?

Błędna droga

W dniu ukazania się tego wydania „FpM" w łacińskiej archikatedrze przemyskiej odbędą się uroczystości pogrzebowe zmarłego hierarchy 85-letniego arcybiskupa-seniora Józefa Michalika. Wielu komentatorów wspomina, jak w 1986 r. został z woli Jana Pawła II ordynariuszem diecezji gorzowskiej (obecnie zielonogórsko-gorzowskiej), a w 1993 r. ten sam papież uczynił go metropolitą przemyskim. Dziesięć lat stał na czele polskiego episkopatu jako jego przewodniczący. Był tym – co podkreślają dziś media – który miał największy wpływ na drogę Kościoła w naszym kraju. Coraz bardziej puste świątynie najlepiej świadczą, że była to droga, która chwały instytucji Kościoła nie przynosi. A wszystko zaczęło się w rzymskim kolegium przy Piazza Remuria 2A.

Uroczystości pogrzebowe w Przemyślu zakończą się złożeniem trumny z ciałem zmarłego arcybiskupa w kryptach metropolitów przemyskich. W tej historycznej archikatedrze będą też zapewne wzniosłe przemówienia biskupów i polityków, zapewnienia, że zmarły „odszedł do Domu Ojca", bo umierają, aby oczekiwać zmartwychwstania, tylko zwykli świeccy, hierarchowie od razu zaś idą „na salony". I nikt szczerze nie powie, że zostanie złożony do grobu arcybiskup kontrowersji. Twórca wizji Kościoła, którego już nie ma. I Bogu dzięki!

Andrzej Gerlach

FAKTY PO MITACH

TYGODNIK FAKTY PO MITACH
(INDEX 434000, ISSN 2719-5309)

Adres do korespondencji:
ul. Łąkowa 11, 90-562 Łódź
(biurowiec Tower Building)
sekretariat: tel. 501 258 385
w godz. 10.00-14.00
redakcja@faktypomitach.pl
listy@faktypomitach.pl
www.faktypomitach.pl
tygodnikfaktypomitach

Redaktor naczelny: J. Dariusz Cychol
Redaguje zespół: Anton Arbatow, Bożena Bednarek, Joanna Cyterska, Łukasz Czarnocki, Piotr Gadzinowski, Katarzyna Wilk-Wojtczak, Włodzimierz Galant, Andrzej Gerlach, Joanna Hańderek, Jakub Jabłoński, Wacław Jerzy Koniecpolski, Michał Kostur, Artur K. Lis, Krzysztof Lubczyński, Włodek Michalak, Tadeusz Nowak, Adam Papierniok, Bolesław Parma, Stefan Płonicki, Sławomir Sadowski, Joanna Senyszyn, Agnieszka Stefańska, Grzegorz Szokiński, Dorota Wróblewska.

Redakcja zastrzega sobie prawo do adiustacji i skracania tekstów. Nie zwracamy materiałów niezamówionych.
Wydawca:
„Mediator – Jan Dariusz Cychol"
ul. Pedagogiczna 22, 05-840 Brwinów
Regon: 141814816 NIP: 534 110 45 88
Dział kolportażu: kolportaz@faktypomitach.pl
Druk: ZPR MEDIA S.A.
ul. Jubilerska 10, 04-187 Warszawa

Dystrybucja: **Kolporter S.A., Garmond Press S.A.,**
Wersja online: **nexto.pl e-Kiosk.pl eGazety.pl eprasa.pl**
Prenumerata redakcyjna:
prenumerata@faktypomitach.pl
miesięczna – 44 zł (4 wydania)
II kwartał – 143 zł
„DO-CENT" sp. z o.o.
05-840 Brwinów, ul. Pedagogiczna 22
Nr konta: 32 1240 1242 1111 0000 1588 4921
Poczta Polska S.A.: sklep.poczta-polska.pl

eprasa.pl f8a5ea809d

ZAORANE

Poznań

Mężczyzna w stroju przypominającym ubiór księdza znieważał w jednym ze sklepów spożywczych przy ul. Rembertowskiej obywateli Ukrainy. Według świadków, był nietrzeźwy i wykonywał nazistowskie gesty. Choć opis ten, według nas, pasowałby np. do zakonników z Jasnej Góry, żaden z nich nie przyjechał wtedy do Poznania. Policjanci ustalili, że 34-latek nie jest księdzem, a jedynie się za niego przebrał. Uważał, że w ten sposób będzie bezkarny. Nic dziwnego, w końcu żyjemy w Polsce...

Świdnik

Koty to narzędzie Szatana. Ten średniowieczny przesąd zdaje się mieć w sobie ziarenko prawdy. Do miejscowej policji zgłosiła się kobieta, która poinformowała, że jej mieszkanie zalewa woda płynąca od sąsiada z góry. Była pewna, że coś mogło stać się właścicielowi, który zwykle o tej porze przebywał w domu. Na miejscu okazało się, że w mieszkaniu nikogo nie było oprócz kotów, które to najprawdopodobniej same odkręciły kurek w kuchennym kranie. Jak? To już wie tylko Szatan; i koty oczywiście.

Kędzierzyn-Koźle

Ludziom po pijaku różne pomysły wpadają do głowy. Jeżdżą po burgery, odprawiają mszę albo prowadzą pogrzeby. Pewien 52-latek postanowił adoptować psa ze schroniska. Pojechał na miejsce mając ponad 2 promile alkoholu w organizmie. Pracownicy zwierzęcego azylu przykładają się do swojej pracy bardziej niż np. niejeden członek komisji rekrutacyjnej do seminarium. Odmówili i wezwali policję. Mężczyzna stracił już prawko, ma też odpowiadać przed sądem. Dobrze, że nie biskupim.

Pacanów

Wczesnym rankiem do sklepu na stacji paliw wszedł 56-latek, wziął z półki czteropak piwa, oznajmiając personelowi „biorę" i wyszedł bez płacenia. Liczył zapewne na to, że przy zdefraudowanych milionach publicznych pieniędzy kradzież piwka za 25 zł nie zrobi na nikim wrażenia. Śledczy potraktowali to jednak jako kradzież szczególnie zuchwałą. Teraz 56-latkowi grozi od 6 miesięcy do 8 lat odsiadki. Idąc tym tropem, niektórym byłym szefom Orlenu powinno grozić dożywocie.

Tarnówka

Polska jest – jak zwykle – „mistrzem Polski". 32-letni kierowca pobił rekord kraju w poziome alkoholu w organizmie. Miał ponad 5,7 promila! Przyjmuje się, że 4-5 promili to dawka śmiertelna. „Sukces" mężczyzny pewnie nigdy nie ujrzałby światła dziennego, gdyby nie fakt, że kierując autem wypadł z drogi.

Opole

Dwóch mężczyzn (31- i 33-latek) napadło na sklep. Ukradli kamery samochodowe, słuchawki i czekolady. Młodszy szybko wpadł w ręce policji, która przez kolejne dwa dni szukała jego kompana. Niepotrzebnie, bowiem ten sam przyszedł na komendę. Chciał przekazać zatrzymanemu koledze... papierosy. Mundurowi natychmiast rozpoznali w nim sprawcę napadu, a w jego kieszeni znaleźli narkotyki.

Z PiSiej pupy się wyrwało:

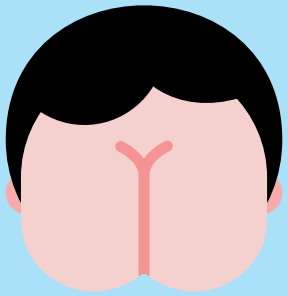

Donalda Tuska parzą polskie święta narodowe i robi wszystko, żeby – jak uczeń z nielubianej lekcji – uciec z Polski, żeby nie świętować z Polakami. Donald Tusk jest obecny wtedy, kiedy może kłócić, jątrzyć albo wyrażać swój wstyd wobec historii Polski, wobec naszych bohaterów narodowych.

Maciej Małecki
poseł

„Jesteśmy na mszy pogrzebowej tak zdolnego, tak pięknego człowieka jak Łukasz Litewka, który poświęcał się pracy dla innych i szukał porozumienia. To właśnie był taki poseł, który mimo tego, iż dostawał zakaz kontaktowania się z prezydentem, to jednak szukał porozumień wokół spraw bardzo ważnych dla niego, a ważnych też dla mnie".

Karol Nawrocki, prezydent RP

***

„(...) Łukasz Litewka wymaga szacunku i my jako Lewica, i ludzie w Polsce, ten szacunek mamy. Niech pan nie gra śmiercią, mówiąc o tym, co przed śmiercią według pana powiedział Łukasz Litewka. To jest po prostu obrzydliwe. Niech pan ma szacunek dla tego człowieka i jego dokonań".

Włodzimierz Czarzasty, marszałek Sejmu, lider Lewicy

***

„Kiedy ja jeszcze rozmawiałem z panem Czarzastym, (...) to ja kiedyś słyszałem, co on powiedział w przypływie szczerości - że jemu duża partia nie jest potrzebna, jemu jest potrzebna partyjka, która jest w stanie przejść przez 3 proc., nawet nie przez 5 proc., dlatego żeby mieć pieniądze".

Leszek Miller, były lider SLD, były premier

***

„Pracujemy nad rozwiązaniami, które poprawiają jakość życia milionów Polek i Polaków: wspieramy rodziny, walczymy z ubóstwem pracujących i stawiamy na stabilne, godne zatrudnienie".

Anna Maria Żukowska, posłanka Lewicy

***

„Czarzasty poszedł do TVP i powiedział, że ma DZIŚ urodziny, zrobiono całą ustawkę i śpiewano mu sto lat tydzień przed urodzinami żeby wyemitować piękną laurkę urodzinową dla Czarzastego? Brawo TVP, czuję się znakomicie wiedząc, że zamiast na onkologię, moje pieniądze idą na takie ustawki".

„chrzanik", popularny komentator serwisu X

***

„Mamy do czynienia z największą aferą ostatnich dekad, w którą wplątani są bezpośrednio były i aktualny prezydent. (...) Chcę wrócić jak najszybciej do sprawnego rozwiązania kontroli państwa na rynku kryptowalut. (...) Nikt nie może – także pan prezydent, liderzy PiS-u – udawać, że nic nie wiedzą".

Donald Tusk, premier

***

„O Polsce, tak jak o matce, nie powinno się mówić źle. Matka może być czasem niedoskonała, chora, może mieć jakieś słabości, wady, braki, ale dobre dziecko nie będzie nigdy mówić źle o swojej matce".

Ignacy Dec, biskup emeryt

***

„Premier Tusk przeciwko wzmocnieniu bezpieczeństwa Polski. Lojalność wobec Berlina na pierwszym miejscu. Wszystko jasne?".

Andrzej Duda, były prezydent RP

***

„Myślałem, że on się tylko podlizuje Kaczyńskiemu, a on zdaje się naprawdę w tę durną propagandę wierzy. Tak jak w zamach smoleński. Boże...".

Radosław Sikorski, wicepremier

Opr. J.D.C.

eprasa.pl f8a5ea809d